

# Ludwik Bernacki

---

## Listy Zygmunta Krasińskiego do Stanisława Koźmiana

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 10/1/4, 106-137

---

1911

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

# MATERIAŁY.

---

## Listy Zygmunta Krasińskiego do Stanisława Koźmiana.\*)

### [Wstęp.]

Zabieram się do miłego sercu i umysłowi, ale może już me siły przechodzącego trudu. Winienem go jednak podjąć równie z obowiązku przyjaźni, jak w chęci choćby najdrobniejszego przyczynku do dziejów współczesnej literatury i jej głównych kierowników, a co najwięcej przez pamięć na człowieka, który umysłem, natchnieniem, sercem równał się najznakomitszym ludziom naszego wieku, a dziwnie harmonijnem zespoleniem tych darów przewyższał wszystkich. Cięży na mnie ta powinność tem więcej, żem już podobnej dopełnił i względem Jenerała Morawskiego<sup>1</sup> i względem Konstantego Gaszyńskiego<sup>2</sup> Wreście, z nikim tyle, prócz mej rodziny, co z Zygmuntem nie korespondowałem przez lat dwanaście (od końca 1846 r. do początków 1859 r.), niczyich listów, chyba od mej matki, tak skrzętnie nie przechowywałem, jako spuściznę rodzinną mym dzieciom je przeznaczając, a bez komentarzów, które ja tylko jeden dać mogę, stałyby się one nieraz może tylko martwą literą. Lękam się jednak, czy wśród ciężkiej i nieuleczalnej choroby, która coraz bardziej mnie dociska, wśród tylu smutków, trudów i niepokojów, które nas zewsząd oblegają, zdołam podjęty zamiar doprowadzić do kresu. Moja nadzieja w miłosierdziu Bożem.

---

\*) Dzięki uprzejmości p. Maryi Koźmianówny z Krakowa oraz łaskawemu pośrednictwu prof. dra Józefa Kallenbacha otrzymaliśmy niedawno przeszło sto dwadzieścia nieznanych listów Zygmunta Krasińskiego, pisanych do Stanisława Egberta Koźmiana (ur. 1811 r., um. 25 IV 1885. Ważną tę korespondencję ogłosimy w czterech zeszytach „Pamiętnika literackiego“ 1911 r. Publikację zamkną objaśnienia wydawcy, oraz studyum o niniejszych listach.

O początkach mej przyjaźni z Zygmuntem mówiłem już na wstępie do mego artykułu o Gaszyńskim<sup>3</sup>. Gdy wyjechał do Szwajcaryi, i gdy następnie po końcu wojny 1831 r. jam się udał za granicę, nie miałem żadnych z nim wprost stosunków aż do roku 1843, lubo zawsze wiedzieliśmy o sobie przez wspólnych przyjaciół. W lipcu 1842 r. wyjechawszy z Londynu i zabrawszy brata Jana<sup>4</sup> z Paryża, połączyłem się w Monachium z matką, drugim bratem i siostrą, przybywającemi z Królestwa. W ostatniem tem mieście napotkaliśmy świeże ale smutne ślady Zygmunta. Grób Konstantego Danielewicza, przed kilkoma miesiącami tu zmarłego, napis ku jego pamięci podniosłym stylem Zygmunta wryty<sup>5</sup>, kilka innych mogilek polskich, między innemi Konstantego Deboli<sup>6</sup>, którą na prośbę jego matki odnowiliśmy, nie wiem, coś smętno-katolickiego, nie tylko w pośród tego cmentarza, ale w całej okolicy, stawiało mi przed oczy całą przeszłość, jak gdyby tędy powiew z Polski przelatywał, lub przeciągnęły były szeregi towarzyszków i przyjaciół mej młodości. Danielewicza dobrze znałem. Ojciec jego był doktorem w Opolu<sup>7</sup>, mieście położonem o milę od mej wioski rodzinnej. W Warszawie widywałem go u Zygmunta. Smutne jego losy w wojsku, złamanie nogi, z czego się nigdy dobrze nie wyleczył, zresztą poetyczne usposobienie jego pociągało i mnie ku niemu. Ostatni raz go widziałem, kiedy po bitwie Ostrołęckiej leżał ranny w szpitalu, dawniej szkole aplikacyjnej, przy ulicy Miodowej. Znaną jest bolesna historia jego siostry, którą mężowi walczącemu w szeregach narodowych porwał książę Wirtemberski. Sprawa ta niezmiernie zawsze martwiła Konstantego i pono była powodem jego śmierci. O ile przypominam sobie późniejsze opowiadania Zygmunta, Danielewicz znalazłszy u księcia portret swej siostry między wizerunkami innych jego kochanek, tak się oburzył, że przyszło najprzód do kłótni, następnie do bardzo gwałtownej korespondencji, wreszcie książę zmuszony został odesłać mu portret siostry, ale to wszystko taką boleścią brata przejęło, że zapadł na tyfus i w kilkanaście dni umarł. Zygmunt wciąż go pielęgnował<sup>8</sup>. Miał ciągle przecucie, że przyjaciel umrze. Gdziekolwiek w tych ciężkich dniach się obrócił, wszędzie widział przed sobą trumnę. Sam Konstanty jeszcze dawniej przewidywał zgon bliski. Napisał Zygmunutowi w Album na rok 1842: *Puisse cette année être aussi courte que l'éclair ou aussi longue que l'éternité*. Za młodszych lat, nieszczęściami domowemi i osobistemi zjęczony, rzucił się on był do panteistycznej filozofii. Jak wielką miał zdolność, okazuje jego rozprawa o Woli, w Bibliotece Warszawskiej zamieszczona<sup>9</sup>. Ale jak zwykle bywa, za oziębieniem religijnem nastąpiła utrata wiary, a w końcu czarny pesymizm. Pod tym względem nie miał dobrego wpływu na Zygmunta. Pan Bóg jednak nie opuszcza nigdy ludzi dobrej woli. Ciężka próba, którą na obydwóch zesłał, miała się dla jednego stać aktem skruczy i pogodzenia się z przepisami kościoła, dla drugiego początkiem silnej i gorącej wiary. Przebywał podówczas w Monachium

Cezary Plater<sup>10</sup>. Ten dowiedziawszy się, że chory Danielewicz już jest bez nadziei, pobiegł do Zygmunta z przedstawieniem, że należy księdza przywołać. Nie od razu się na to zgodzono. Wezwano naręście proboszcza czy wikarego z parafialnego kościoła, ale ten tak do chorego nie umiał przemówić, że już zdała się ostatnia chwila straconą, gdy wtem Cezary, szczęśliwą myślą natchniony, biegnie po sławnego księdza Windischmana<sup>11</sup> i przyprowadza go do łoża już konającego grzesznika. Kilka słów wymownego kapłana wystarczyło, by obalić ostatnią zaporę. Chory wyspowiadał się i opatrzony św. Sakramentami spokojnie ducha wyzionął. W Zygmuncie od razu ogromna dokonała się zmiana. Nigdy on nie był stracił wiary, nigdy on nawet od kościoła nie odstąpił, ale osłabł był w praktykach religijnych i fantazyował tam, poetyzował, gdzie prosty katechizm najlepszym jest przewodnikiem. Wielkie to serce nie umiało niczego ukryć. Pełen pokory, chętnie słuchał zdania drugich i nie wstydział się przed nikim wyznać, jeśli się przekonał, że błędził. Jeszcze więc Danielewicz nie był skołał, kiedy Zygmunt tak od jego łoża do Cezara pisał:

Jeśli ci nieraz był przykro przeciwny,  
I miał twe zdanie w dumnej poniewierce,  
To, żem nie wiedział, żeś taki przedziwny,  
Ze tak szerokie bije w tobie serce.  
Przebacz! bo teraz bliski czy daleki  
Już znam twą duszę i znam ją na wieki!  
Dam ci więc rękę — w uścisku tej ręki  
Nie fałsz, lecz prawda — i raz jeszcze: dzięki!

Od tego czasu coraz potężniej rozwijał się w nim duch katolicki i doszedł wreszcie w 1847 do najzupełniejszej zgody z przepisami kościoła.

Napis na grobowcu jest taki:

„Konstantemu Danielewiczowi, wśród najwznieśliwszych w Polsce umysłów, wzniosłemu, — wśród najszlachetniejszych serc, szlachotnemu, — oficerowi ostatnich wojsk polskich, przesytemu kulą gdy szedł na bagnety pod Ostrołęką, w lat jedenaście później zmarłemu na obcej ziemi w 34 roku życia, po długiej chorobie w Munique, dnia 27-go marca 1842 r. Towarzyszowi młodości całej, przyjacielowi, więcej niż bratu, kamień ten nad zinnymi zwłoki w rozpaczy położył Zygmunt Krasieński.

Niech śmierć i stokroć twe zwłoki tu grzebie,  
Ty żyjesz, żyjesz, pod zimnym kamieniem,  
Nie jesteś prochem, ni snem, ni milczeniem, —  
I ty wiesz w niebie, jak jam kochał ciebie.

„Ale dni moje prędsze były niż poseł, uciekły a nie widziały nic dobrego. Przeminięły jako prędkie łodzie, jako orzeł, lecący do zeru. Hiob, rozdział 9-ty.“

Oprócz tego poeta upamiętnił swego przyjaciela w Aligierze, w pierwszej części *Nieboskiej Komedyi*. Rozwiodłem się tak obszernie nad tą chwilą najprzód, że ona tak jest ważną w życiu Zygmunta, powtóre, że choć nie byłem jej obecnym, stała się niejako punktem, od którego odszukałem przyjaciela młodości, i połączyłem się z nim duchowo, zanim przycisnąłem go do serca. Drogi nasze nie zetknęły się w Monachium, ale odtąd jeden w ślad drugiego dążył. I spotkaliśmy się tam, gdzie wszelka pamiątka podwójnie uroczystą i potężną się staje. —

W kilka dni po mojem przybyciu w styczniu 1843 do Rzymu, dowiedziałem się, że i Zygmunt przyjechał. Zaraz pobiegłem do niego. Mieszkał na *via Sistina*, obok *Trinita dei Monti*. Wpadam, przyjmuje mię z serdecznością, z jaką on tylko witać umiał, — w oka mgnieniu zdawało się nam, żeśmy się nigdy nie byli rozdzieili, że lata minione przemknęły błyskiem, i że znówu siedzimy przed marmurowym kominkiem w pałacu Krasińskich, lub pod drzewem za Kaźmirowskim gmachem licejskim, figlując i paląc na zabój hawańskie Jenerała cygara. Gdym się jednak mu przyjrzał, spostrzegłem znaczną zmianę. Oczy czerwone i cierpiące, twarz szeroko zarosła faworytami, nisko przyciętymi, wykazała mi męczyzną w sile wieku, ale ciężko bolejącego. Długośmy, jak się zwykle w takich razach dzieje, urywanemi tylko słowami gadali i o czasach przeszłych i o rozproszonych przyjaciółach. Aby wyjść z tych smutnych wspomnień, Zygmunt pokazał mi list, który był właśnie od Słowackiego odebrał<sup>12</sup>. Nie pomnę, co było w tym liście, lecz zostawił mi wrażenie kolosalnej zarozumiałości i pychy. I Zygmunt też mówił mi: Ten człowiek zwaryuje z próżności! Przytaczał ustępy z dawniejszych listów i rozmów, jak np.: „Wy wszyscy nic nie wiecie — cała ludzkość słucha pierwszego aktu, a ja jeden tylko wiem, co będzie w piątym — i jakie rozwiązanie sztuki... Wczoraj byłem na posiedzeniu Instytutu, aż zadrzałem, bo już dobierali się do jądra zagadki wszech rzeczy, o czem tylko jeden duch mój wie, alem wnet ochłonął, bo ją minęli i poszli w przeciwległą otchłań ciemności i t. p.“ Nie wiem, czy takie były wyrazy, ale niezawodnie myśl taka, bo mi później nieraz to jeszcze Z. powtarzał, dodając: Juliusz szczerze jest przekonany, że wyrzekłby jedno słowo, a nasz planeta i wszechświat rozwiązanyby został. Nie pomnę, co wtedy Z. pisał i czy mi co mówił o tem. Wiem tylko, że jakiś arkuusz dużemi literami zapisany na jego biurku leżał. Z powodu bo wiem bolu oczów ogromne stawiał litery. Gdym na to zwrócił uwagę, opowiedział mi, jak takie sążniste głoski od niezaśnośnego raz go natręta uwolniły. W czasie, kiedy pisał *Nieboską*, zwykł był do niego przychodzić Krysiński, dawny sekretarz Dyktatora<sup>13</sup>, i nie

dość, że go nudził światową paplaniną, ale jak to często czynią ludzie podobnego pochodzenia, parweniusze, poufalił się z nim, co do tego posuwał stopnia, że aż go zwał Zygmusiem. Jednego razu, gdy wszedł tak szybko, że Z. nie zdążył usunąć swych papierów, zastaje na stole tylko co zaczęty arkusz Nieboskiej w tem miejscu, gdzie Chór Przechrztów występuje. Wyrazy te, olbrzymiami literami wypisane, wydały mu się zgrabną odprawą, po kilku też błahych słowach wziął za kapelusz i już nie prędko wrócił. Ale gdy znowu się zjawił, począł jak dawniej Zygmunta zwać poufale zdrobniałem imieniem. Wtedy już ten nie mogąc dalej wytrzymać, za każdym frazesem dodaje *Monsieur le Comte*. Na to Krysiński: Ależ ja nie jestem hrabią. *Si vous ne l'etes pas, je le suis* — odpowiedział Zygmunt. Był to pewnie jedyny raz w życiu, w którym on z taką dumą wystąpił. Potulny, pokorny, nader grzeczny dla wszystkich, nigdy on ani z położenia, ani z tytułu ani z majątku swego nie wynosił się, owszem rad na równi z wszystkimi a nawet niżej się stawiać. Jakaż to różnica była jego układu i obejścia, w porównaniu z tonem, w jakim Mickiewicz lub Słowacki innych traktował. Może być, że to natręctwo Krysińskiego wpłynęło nieco na rolę i charakter, jakie Z. w swem dziele Przechrztom wyznaczył. Ale prócz tego niecierpiał on żydów i przechrztów w ogólności, twierdząc, że oni roztrzaskają świat przez zemstę. Jest to ten sam Krysiński, który pochwycawszy z papierów Dyktatora list, jakim Wielki Książę nakazywał Polakom oddanie Modlina po rewolucji listopadowej — bardzo ważny dokument, gdyż nie tylko w obec Cara ale i w obec historyi uprawniał też rewolucyę — chciał już na emigracyi sprzedać go księciu Adamowi Czartoryskiemu, lecz gdy z powodu przesadzonych żądań co do zapłaty odrzucono jego propozycyę, udał się do moskiewskiego rządu i dobrze pieniędzmi nagrodzony otrzymał w dodatku amnestyę. Wprawdzie ks. Adam, gdym się raz o to zapytał, przeczył aby mu taką propozycyę Krysiński był robił. Ale to może było nie wprost, a książę starał się zawsze, o ile tylko może być, ochraniać drugich od potępienia, zwłaszcza że Krysiński, powróciwszy do emigracyi, mógł wielce wszystkim szkodzić. Powrotu zaś tego miała być taka przyczyna. W Petersburgu grał w karty i robił interesa na wielką skalę, pośrednicząc między przedajnymi ministrami i urzędnikami a Polakami przybywającymi w sprawach majątkowych lub sądowych do stolicy moskiewskiej. Ożenił się tamże z Rosyanką, a że żył bardzo wystawnie, narobiwszy długów i pono sfałszowawszy jakieś papiery, musiał uciekać. Opowiadano dziwne historye o sobie, w jakim tego odwrotu dokonał. Dość, że w 1844 czy 45 zjawił się znowu jako Leliwa nad Renem. Wtedy znowu zaczął patryotyzować, drukować broszury, a w 1848 tak bałamuctwami swemi obsaczył Skrzyneckiego, że ten zupełnie weń uwierzył. Raz też jedyny u Skrzyneckich go widziałem. Grał wciąż szczęśliwie i podobno w bankach nad Renem kilka milionów franków wygrał. W końcu

jednak wszystko przegrawszy, sam w nędzy umarł, a żonę i dzieci w najdotkliwszym ubóstwie zostawił. Lubo te ostatnie okoliczności wydarzyły się daleko później niż wspomniane sceny z Zygmuntem, ten jednak dość już wtedy wiedział o nim, aby w bujnej swej imaginacji dalsze koleje tego awanturniczego życia i tragiczny onego koniec przepowiadać. Na ta ich to pogadankach zesłała nam niejedna godzina w Rzymie. Nie często jednak widywaliśmy się. Ociążanie się było z mej strony. Bałem się mu narzucać i za nadto korzystać z przywileju koleżeństwa. W szkołach byliśmy sobie prawie równi, oba uczyliśmy się dobrze, oba próbowaliśmy stawiać pierwsze kroki w piśmiennictwie. Jeśli był wtedy jaki odstęp, teraz stał się niezmierną przestrzenią. Uczułem się w obec niego tak maluczkim, że mi nie zawsze kontrast mógł być miłym. Ktoby w takim razie mógł się zupełnie obronić nie powiem od dreszczu miłości własnej, ale od smutnego zwrotu na siebie samego, że kiedy on rósł tak wysoko, jam jeśli nie malał to trwał na tym samym poziomie, ten chyba byłby aniołem. Pojmowałem dobrze i przypominałem teraz sobie tego starego podoficera w naszej baterii, który mawiał w 1831 r.: „Przecież ja z Skrzyneckim kolegowałem, nawet wyższym byłem od niego, ale nie dziw, że on teraz naczelnym Wodzem a ja zawsze podoficer, bom ja wziął przed laty dymisyę, a on wciąż służył“. Czuję, że przyjaźń chłopięca aby się zamienić w męzką potrzebuje jakiejś szczęśliwej okoliczności, jakiegoś faktu potężnie łączącego serca, a zawsze czasu. Oprócz tej nieśmiałości z mej strony, stała nam na przeszkodzie sprawa, którą był głównie wtedy zajęty, ale o której nikomu, prócz Jerzego Lubomirskiego<sup>14</sup>, nie mówił. Ojciec jego, ułożywszy się wprzód z rodziną Branickich, nalegał nań aby się oświadczył ich córce Elizie [choć] Z. nie miał wielkiego pociągu do małżeństwa<sup>15</sup>. Panny B. wciąż widywałem, to obchodzące Rzym, to na balach. Pamiętam na jednym starszą, pysznie się wydawała, w wieńcu dębowym na głowie jak Norma. Wkrótce ktoś, może Jerzy, powiedział mi co się święci, i że Z. bardzo się jeszcze waha<sup>16</sup>. Zaraz po karnawale wyjechałem z rodziną do Neapolu. Powróciwszy do Rzymu na święta wielkanocne, zastałem tam J-ła Krasieńskiego, który przyjechał aby zdecydować syna. Jako emigrant, nie śmiałem pierwszy być u Jenerała, ale on sam przyszedł, bo znał matkę moją, i długo z nami o Zygmuncie rozmawiał, dając do zrozumienia, że się sprawa pomyślnie ułożyła. Jakoż zaręczyny odbyły się 23-go kwietnia. Byłem tegoż dnia u Zygmunta, ale nic mi nie mówił. W kilka dni potem wyjechałem do Florencyi a w początkach czerwca już byłem w Londynie. Pierwsze to spotkanie z Z. zostawiło mi wrażenie, że przyszedł mi drogę człowiek wielkiego ducha i wielkiego serca, któremu ja mogłem być przyjacielem na ławach szkolnych, póki między nami była równość, ale który teraz tak mię przerósł, że się obejść może bezemnie, zwłaszcza że losy nas rozegnały daleko, i że nie wiedzieliśmy czy się jeszcze kiedy zejdziemy. Nie pisywałem też

do niego. Zresztą nie było sposobności — on w kraju przepędzał pierwsze lata po ożenieniu się, które nastąpiło w Dreźnie 26-go lipca 1843 roku, ja przesiadywałem w Anglii. W 1846 roku wyjechałem na ślub brata<sup>17</sup> do Berlina w maju. Cztery tylko tygodnie pozwolono mi zostać w Prusiech. Ci, którzy starali się abym mógł na stały pobyt przybyć w Poznańskie, a przynajmniej osiedlić się przy bracie w Berlinie, radzili mi nie jechać ani do Anglii ani do Francji, ale o ile możności trzymać się Niemiec. Wałęsałem się więc po Saksonii, w Hanowerskiem, u wód nad Renem, odprawiłem jeszcze jedną podróż po Szwajcaryi, ale wręście znużony tą ciągłą wędrówką, osiadłem w Heidelbergu. Stałem w hotelu znajdującym się trochę na uboczu (jeśli tak można powiedzieć o mieście złożonym z jednej długiej ulicy i krótkich poprzecznic), ale w samym środku miasta. Moja gospoda, *zum Prinz Max*, była ogromną, pokoje wspaniałe, mnie dano najlepszy za nader pomierną cenę, bo bardzo mało osób tam zajeżdżało. Aby tęsknotę rozpędzić i ulżyć osamotnieniu, wziąłem się na gwałt do tłumaczenia króla Leara<sup>18</sup>. Bywał u mnie tylko czasem jaki przejezdny rodak, lub jaki uczeń uniwersytecki. Już od dni 10-ciu tak na pokucie siedziałem, gdy 14 października rzuciwszy okiem na miejscową gazetę, wyczytuję Zygmunta nazwisko w liście przybyłych. Mieszkał w *Badischer Hof* przy głównej ulicy. Nie potrzebuję mówić jak się oba ucieszyliśmy z tego przypadkowego spotkania. Oba byliśmy mocno na zdrowiu skołatani, oba jeszcze pod okropnem wrażeniem rzezi galicyjskiej. Przybywał tu, aby być przez jakiś czas pod okiem Cheliusa<sup>19</sup>, i aby uspokoić się i skupić w duchu. Mówił mi zaraz, że niczego nie pisze i że już zapewne na nic się zdobyć nie potrafi. Odtąd codzień po kilka godzin przebywaliśmy z sobą. Potrzebował wiele chodzić. Śliczne góry i przechadzki po obu stronach Nekary nastęrczały sposobność długich i miłych wycieczek. Codzień więc dalekie odbywaliśmy spacery. Lubił on także przesiadywać pomiędzy ruinami zamku, i gdy groziła niepogoda lub czasu brakło, po terrace tegoż zamku chodzić. Jeśli już deszcz na dobre się rozpadał, jechaliśmy do dworca kolei żelaznej, i tam po długim korytarzu, i często w obec zdziwionej publiczności i służby, odprawialiśmy sążnistemi krokami naszą parogodzinną bieżnię. Nieraz nastarczyć mu nie mogłem. Pomnę, jednego wieczora poszliśmy daleko w góry. Nagle mgła nadciągnęła, tak że się zupełnie zaćmiło i droga prawie znikła nam z przed oczu. Szedł jednak zżawo naprzód, samym brzegiem nad niebezpieczną w wielu miejscach pochyłością, musiałem co chwila go przestrzegać albo prosić, aby zwolnił kroku. Ale on na nic nie zważał, tylko wciąż wydobywał coraz dziksze obrazy i fantazyje z tych obszarów ciemności. W takim razie podnosił głos do natchnionego tonu i zdawał się jaki dantejski poemat improwizować. Droga coraz pochylej spadająca, mgła coraz gęstsza, straszna duszność w powietrzu, mogły w istocie wzbudzić w nas złudzenie jakobyśmy po dantejsku zstępowali do piekła. Wrażenia



nasze jeszcze się wzmogły, gdy dochodząc do miasta, na samym skrawku, gdzie od ruin zamku spuszcza się droga na dół, przeleciał nad naszymi głowami tak świetny meteor, że się zdało całe niebo w płomieniach. Miejsce to miało odtąd dla niego jakieś dziwne znaczenie, tem bardziej że w pobliżu sterczał na skale dom kata, który ściał Sanda<sup>20</sup>. Ilekroć tamtędy przechodziliśmy zawsze wskazywał na dom, mówił o skrwawionym mieczu i czerwonym człowieku. W czasie takich przechadzek nie tylko o ogólnych mówił przedmiotach ale zstępował do najtajniejszych osobistych zwierzeń. Zdało się, że nie było nic tak skrytego i tak ważnego, czego by mi nie powierzył. Skwapliwość, z jaką to czynił, choć ja raczej wstrzymywałem go niż popychałem ku temu, przekonywała mię, że nie tylko była w tem chęć okazania mi nieograniczonej ufności, ale zarazem potrzeba jego zbolącej duszy. Tym sposobem podniósł on mię swem sercem, i choć niezasługującego na to, postawił znowu obok siebie. Już od tego czasu uważaliśmy się jak bracia, on mię nawet uważał jak starszego, radził się mnie i pomimo że sam tyle we wszystkim bystrzejszy, chętnie moim sądom i w literaturze i w polityce i w osobistych sprawach podlegał. Lubo stał w daleko droższym hotelu, ja miałem pokój obszerniejszy, do mnie więc codzień na herbatę i pogadankę wieczorną przychodził. W jednej rzeczy jednak nie chciał mię słuchać, nie chciał żadnym sposobem zmienić trybu życia. Rano pijał parę filiżanek tęgiej kawy, wciąż palił bardzo mocne cygara, nie jedząc nic aż po wieczornej przechadzce, wtedy dopiero siadał do objadu i nie jadł, nie gryzł, ale kawałkami połykał mięso. Żeby go nakłonić do zmiany, nie chciałem bywać u niego na obiedzie, i nie często też bywałem, przekładając z powodu osłabionego zdrowia mój skromny obiad o 1-szej. Po obiedzie więc swoim przybiegał do mnie. Obok mego pokoju była ogromna sala, w której dawano bale a czasem i teatr urządzano. Otóż i podczas mego pobytu dano tu kilkanaście reprezentacji. Grano kilka oper, między innymi wcale dobrze *Damę Białą*<sup>21</sup>. Z mego pokoju, bo tylko przez jedne drzwi zamknięte, doskonale słysząc było każdą nutę. Lubił on to bardzo i śmiejąc się mawiał, że żaden mocarz nie ma tego na świecie, aby pijąc herbatę i paląc cygaro, niewidziany i nienagabywany przez nikogo, mógł z swojej sypialni tak dobrze odśpiewaną słyszeć operę. Rano wpadał do mnie, pytając jaką mu dam na wieczór reprezentacją? Lubił bardzo muzykę i wyśpiewywał sobie, choć nie miał głosu. Powiadają, lecz nie wiem o ile w tem prawdy, iż *Ostatnia Myśl* Webera, którą grał na fortepianie, nastreczyła mu sposobność poznania się z *Mickiewiczem* w Szwajcaryi<sup>22</sup>. Teraz najczęściej nucił sobie arję, zda mi się z *Gustawa* a *III-go*<sup>23</sup>, która się zaczyna od słów: *J'ai vu briller au rang suprême un amant qui m'a su charmer*. Gdy tak rankami wpadał do mnie, przynosił mi prawie zawsze jakiś mały podarek to książkę, sztych lub pularesik jaki, to znów cygara, papier a nawet bułeczki do kawy. Bardzo to było pocziwem, ale dla mnie

nieraz żenującem. On był bardzo bogaty, ja niezupełnie ubogi. Odmawiać było trudno, musiałem więc wciąż przemysłować czembym się mógł mu odplacić, a tak bez ustanku płądrowaliśmy po sklepach, szukając podarków. Z moich największą mu przyjemność zrobił sztych dziecka, bardzo przypominający jego dwuletniego Adzia. Oczywiście że w rozmowach naszych najczęściej nasuwało się nam okropne położenie ojczyzny. Jeszcze nie przewidywaliśmy, że mogło być okropniejszym. Zbolałe jego piersi były pełne jęków zwątpienia, ale zawsze co rychlej z tego się strząsał i oddawał się uniesieniom najwspanialszych nadziei. Kto go w takich razach nie słyszał, niema nawet z jego dzieł wyobrażenia czem było to żywe, natchnione, prorockie słowo. Ja już mało dziś pamiętam, ale choćbym i zdołał to powtórzyć, w mych bladych słowach i najwznioślejsza myśl stałaby się komunałem, gdy przeciwnie w jego ustach najpospolitsze zdanie nabierało uroczystej okazałości. W weselszych chwilach opowiadał wiele ciekawych historii i anegdot. Wiedział wiele od ojca o dworze petersburskim. Znał *arcana* większych rodzin polskich, jako Potockich, Branickich, Rzewuskich. Oczywiście, choćbym pamiętał, powtórzyć tego nie mogę. Wolę zapisać parę szczegółów, które ludziom honor przynoszą.

Kiedy Cesarz Mikołaj chciał zrobić Orłowa<sup>24</sup> pierwszym ministrem, ten wymawiając się odpowiedział mu: *Vous êtes dur et cruel, moi aussi je suis dur et cruel, a nous deux nous bouleverserions toute la Russie*. Następca tronu, dzisiejszy Aleksander II, powiedział o Władysławie Zamojskim: *C'est l'homme qui depuis dix ans n'cus a fait le plus de mal en Europe*. O Władysławie Branickim<sup>25</sup>, teściu Zygmunta, miał Cesarz powiedzieć: Nawet temu wierzyć nie mogę i on jest gorącym Polakiem. O jednym z panów naszych mawiano: Kocha Polskę, ale nie lubi Polaków. Choć podobna dystynkcya dla wielu trudną jest do zrozumienia, można ją pojąć, jeżeli odłączymy ideę od tych, którzy ją usiłują w życie wprowadzić. Znałem jednego, który całe swe życie dał w ofierze dla demokracji, a przecież niecierpiał demokratów i swe obrzydzenie głośno wyznawał. I Cesarz Mikołaj czynił co do Polski podobną różnicę. J-wi Łubieńskiemu<sup>26</sup> mówił: „Rozproszeni będziecie wszyscy jak żydzi“, a komuś innemu: *„Un jour une Pologne existera peut-être, mais des Polonais—jamais“*. Z., poznawszy bliżej swego teścia, lepsze o nim powziął wyobrażenie. Mówił mi: On sam dla Polski nicby nie zrobił, ale dałby sobie wykraść trzy czwarte majątku, aby Polska była. Dziwne też rzeczy opowiadał mi o silnym charakterze matki [żony]. Nie jest zwyczajem na dworze rosyjskim, aby frejli-nom, gdy są na służbie, towarzyszyły matki. Pani Branicka nigdy nie puszczala córek na służbę dworską bez siebie. Kiedy chciano ją zrobić damą portretową, odesłała Cesarzowi portret, mówiąc że lepiejby zrobił gdyby oddał jej bratu (Aleksandrowi) zabrane dobra. Kiedy dostała skira w piersiach, sama po wszystkich stolicach Europy opatrywała po sklepach narzędzia chirurgiczne, gdy takowe

według upodobania znalazła, zamknęła się i przykazawszy dzieciom pod błogosławieństwem, aby nikt do niej choćby z najpilniejszym interesem nie wchodził, wycięła sobie raka, obandażowała się i wyleczyła. Matka ta Spartanka chciała i dzieci włożyć do cierpliwego znoszenia jak najdolegliwszych przykrości<sup>27</sup>. Puszczając się z niemi w daleką drogę, karmiła je pieczonemi kartoflami, zabranemi z domu. Znakomicie też je zahartowała. Eliza bez syknięcia węglem sobie do kości raz ciało na ręce wypaliła. W długich pogadankach naszych napadaliśmy często także na przedmioty mistyczne o czym lubił rozprawiać. Raz mówiąc o magnetyzmie, snach i jasnowidzeniu, przytoczył mi dwa dziwne widzenia swej żony. Nie wiedziała, że jej ojciec chory, a przecież gdy usłyszała trąbkę ekstrapocztę, która z wieścią o jego nagłej śmierci biegła do ich pałacu, wykrzyknęła: ojciec umarł. Nie знаła matki męża. Może się nawet dopiero po jej śmierci urodziła. Nie znała nikogo z rodziny, nie wiedziała o nikim i o niczem, co się jej przyszłego małżonka tyczyło. Będąc małą panią, widziała w snach swych na jawie jakąś kobietę umierającą, której oblicze, postać ciała, ruchy, słowa, nawet pokój, w którym konała, tak mocno ze wszelkimi szczegółami wbiły się jej w pamięć, że obraz ten zawsze jej stał przed oczami. Jakież było jej i wszystkich zdziwienie, gdy zostawszy żoną Zygmunta weszła po raz pierwszy do pałacu Krasińskich i poznała pokój i kącik, w którym matka umarła, a opowiadając szczegóły swego widzenia, przekonała wszystkich, że widzenie jej aż do najmniejszych drobnostek zgadzało się z rzeczywistością. Sposób, w jakim zawsze mówił mi o Elizie, dowodził mi coraz mocniej, że wbrew powątpiewaniom innych, kochał ją całym sercem. Unosił się nad jej portretem przez Ary Scheffera<sup>28</sup> dokonany. Szeffer i jego także wizerunek, znany powszechnie ze sztychów, malował. Za żaden nie chciał wziąć zapłaty. Oni mu za to w podarku ofiarowali bogato rzeźbiony puhar, w którym osadzono cztery medaliony z wizerunkami Dantego, Rafała, Michała Anioła i Goethego. Z. dał na nim stosowny napis po francuzku: o Ideale. Nie wspomniałem jeszcze o najważniejszym przedmiocie naszych rozmów, o religii. Miał on jeszcze niejaki przesady przeciwko urządzeniom kościelnym, przeciw zakonom, osobliwie przeciw jezuitom, marzył o jakiejś epoce trzeciej Ducha Ś-go. Mnie jednak zwykle w końcu ustępował, może przez delikatność, nie chcąc urazić mej silnej wiary. Podjąwszy jednak jaki przedmiot, nie opuszczaliśmy go łatwo. Pamiętam, że przez dwie długie przechadzki wciąż spieraliśmy się, ja widziałem cel, przeznaczenie człowieka, rękojmię świętości i zbawienia w zupełnym zwycięstwie ducha nad ciałem, on w harmonii między jednym a drugim. Jednym z jego argumentów było, że w którejś Ewangelii *apocryphe*, Chrystus na zapytanie kiedy przyjdzie nowy wiek, odpowiada: Kiedy to, co jest dziś dwoje, będzie jedno. Jak jednak silnie był on ożywiony duchem katolickim, miałem wkrótce niewątpliwy dowód. Dawał wiele na rozmaite instytucje religijne i dobroczynne

w kraju i emigracji, dawał hojnie pojedynczym, osobliwie literatom. Sam mi mówił, że od lat wielu wspiera Mickiewicza. Był też ciągle nagabywany listami z prośbą o pieniądze, najczęściej pod pozorem, że proszący ma ważne dzieło, które chciałby wydać. Takie listy przychodziły wtedy do niego z Paryża od J. B. O. i od innych. Jednym z najszczerzej od niego obdarowywanych był Trentowski<sup>29</sup>. W dziełach też swoich zawsze o „wieszczu“ i o „orle“ mówi i wciąż jego wiersze przytacza. Z. o ile mógł, unikał nowych znajomości, ale gdy już nie mógł się uchylić dalszym naleganiom Trentowskiego, zaprosił go teraz na parę dni do Heidelberga. Właśnie był przyjechał do niego i Leopold Poletyła<sup>30</sup> w powrocie do kraju z Rzymu, bardzo miły człowiek, ale smutny z powodu doznanego zawodu i chory na gardło. Oba mi na przechadzce opowiadali rozmaite szczegóły o Trentowskim. Jeden zapamiętałem. Kiedy przybył na uniwersytet w Fryburgu, pozbawiony wszelkich funduszków, stanął u jakiejś praczki, która miała dwie córki. Z początku szło jako tako, bo według zwyczaju w miastach niemieckich, w których jest uniwersytet, miał darmobiady po kolei u obywateli miejskich. Ale się to jakoś wkrótce urwało. Przytem zagadawszy się raz, stojąc tyłem do kominka, spalił sobie jedyny surdut, jaki posiadał. Wtedy poszedł do swej izdebki, rzucił się na kolana i wyciągnawszy pięść do góry, zawołał: Boże, dojmujesz mię coraz większymi nieszczęściami, ale nie złamiesz mego ducha, ja ci się nie poddam. Pominawszy bluźnierstwo, co za logika w filozofie. Uznaje Boga a nie chce mu się poddać. Dalej jeszcze zabawniejsza scena. Wróciwszy do gospodyni, powiada: Niema innego ratunku, muszę się z jedną z was ożenić, ale nie wiem z którą, ciągnijcie na supełki. Szczęściem, los padł na młodszą, przystojniejszą córkę. I zaraz też się z nią ożenił. Nie bardzo to wszystko usposabiało nas, osobliwie mnie, do przyjęcia go z otwartymi rękoma. Kiedy nadszedł dzień jego przyjazdu, Z. był strasznie skwaszonym. Ułożyliśmy się, że skoro przyjedzie, przyjdą do mnie, aby pójść na przechadzkę. Nie mogąc się ich doczekać, poszedłem na taras zamkowy, zwykłe nasze *rendez-vous*. Wkrótce i oni przybyli. Trentowski w ogromnym makintoshu aż po kostki spadającym, ze starym ciężkim parasolem w ręku, kłaniający mi się jak najuniższej przy powitaniu, wyglądał prędeż na kupca baranich skórek niż na filozofa. Gdy się rozmowa nie kleiła, poszliśmy umyślnie w boczną ulicę z Poletyłą, aby ich samych zostawić. Jakoż, skorośmy się znów do nich zbliżyli, spór już wrzał na dobre. Oto co mi utkwilo w pamięci z twierdzeń filozofa. „Nie chrystyanizm wykształcił Europę ale Europa chrystyanizmem. Osobistość Chrystusa jest niższa w porównaniu z Mahometem. Nie miał odwagi, uciekał do Egiptu, uciekał przed żydami mówiąc, że jeszcze czas jego nie przyszedł. Temu tylko wielki, że powiedział, przepowiedział, co on teraz twierdzi, że człowiek jest syn Boży. Chrystyanizm przejdzie jak wszystkie inne religie. Pełno było Chrystusów. Hermes położył także życie na drze-

wie hańby. Tak jak duch chrześcijański był przed Chrystusem, tak pierwiastek pogański trwa i po nim. Tem pogaństwem jest cała dzisiejsza zewnętrzność kościoła. Najwyższym, najmądrzejszym stopniem pogaństwa był fetyszym. Najprzód czczono tatusiów, dobroczyńców, heroów. Cześć ta była najmajestatyczniejszą ale najgłupszą. Później wzięto się do gwiazd jako przedstawicieli bóstwa. Dalej, jak u Greków i Rzymian, rozebrano przymioty i siły człowieka, i te w bóstwa upostaciowano. U Skandynawów były bóstwa inteligencji: Azy, — i uczuciowe: Wany. Następnie u Finów i Litwinów duch człowieka chciał panować nad Bogami, ztąd guslarstwo, czarnoksiężstwo. W fetyszymie nie czczono kota, ale więzionego w nim ducha, nad którym człowiek panował i siłą swą magnetyczną przewracał na wsze strony. Historycznego dowodu niema, że Chrystus był (Jezus był człowiek, co umarł, a Chrystus znaczy ducha). Dopiero pierwszy Pliniusz o chrześcijanach wspomina. W dramacie, który się toczy między ludzkością a Bogiem niekonieczny jest Chrystus, mógł nie być i t. d.“. Nie wiem dla czego Z. nie odpowiadał dość żwawo, czy że chciał mu dać się wygadać, czy że zgrozą był przejęty. Kilka jednak przeciw niemu dowodów rzekł dobrze, jak n. p. Jeżeli niema historycznych dowodów w łacińskich pisarzach że Chrystus żył, to gdyby był nie żył, przeciwnicy, którzy mieli archiwa i pisma współczesne a którym chrystyanizm groził polityczną zagładą, nie byłiby omieszkali przytoczyć wszystkiego na stwierdzenie, że nowa religia jest prostym wymysłem i fałszem późniejszych. Ucieczka zaś Chrystusa znaczy cierpliwość, co jest najwyższym stopniem męstwa. Rozповідаł nam dalej T. o B o ż y c y, do której pisania właśnie się zabierał. Mnie tem więcej ta rozmowa zjętrzyła, że i przez nieufność w me siły i przez zdanie się na Zygmunta nie brał żadnego w niej udziału. Gdy więc po objedzie prosili mię abym przyszedł na herbatę, wołałem zostać w domu. Tymczasem dowiedziałem się nazajutrz od Poletyły, że całą noc dalszy spór się toczył, że Zygmunt nigdy nie był wymowniejszym, że przeszli całe pole prawd chrześcijańskich i dogmatów katolickich, że wyparował go ze wszystkich stanowisk, tak iż Trentowski cofając się wciąż powtarzał: Ja nie filozof, tylko z przypadku zostałem pisarzem, a w istocie jam tylko Ułan z jazdy augustowskiej. Drugiego dnia wyjechał, a my wróciliśmy do naszych miłych pogadank. Poletyło opowiadał nam o Chłopickim. Mówił, że gdy raz chodzili po plan-tacyach w Krakowie, Chłopicki wskazując na mogiłę Kościuszki rzekł: „Taką mógłbym być mieć mogiłę“ — i zapłakał. Wkrótce i Poletyło wyjechał. Z. nie zawsze był zdrów, skarżył się na coraz częstsze uderzenia krwi do głowy, które poczęły się przy łożu umierającego Danielewicza. Raz w czasie przechadzki dostał zawrotu głowy i upadł, tak że ledwie go do domu zdołał doprowadzić. Szukałem dla niego jak najwięcej rozrywek. Chodziliśmy codzień do strzelnicy, gdzie go bardzo zajmowało strzelanie za pomocą nowo wtedy wynalezionej fulminującej bawełny. Oprócz korespon-

dencji, która mu parę godzin porannych zajmowała, nic nie pisał, próżno go namawiałem, zawsze opowiadał, że ostatnia katastrofa polityczna uderzyła go w mózg jakby obuchem i że jest teraz do niczego. Na odwrót, mnie koniecznie kazał sobie czytać, com pisał. Unosił się nad wiernością i siłą moich przekładów z Szekspira<sup>31</sup>. Ceniłem w tem głównie dobre jego dla mnie serce, bo wiedziałem że w każdym razie byłby moją pracę chwalił. Osobliwie kazał sobie często powtarzać scenę z Lyra, kiedy obłąkany król wyzywa burzę i wszystkie żywioły, aby go zmioły z ziemi. Chcąc go jednak koniecznie przynaglic aby wziął się znów do pióra, napisałem wiersz *Do Mistrzów Słowa*<sup>32</sup>, a że lada chwila miał już Heidelberg opuścić, posłałem co prędzej do druku do Paryża. Gdy przyszła korekta, rozłożyłem ją na moim stole tak, aby ją spozregł skoro wejdzie. Jakoż przybiegł niebawem, i zaraz po przywitaniu chwycił za arkusz zadrukowany. „Co to masz, jakieś wiersze“. „Wiersze które mi przysłał Królikowski<sup>33</sup> z Paryża“. Czyta, widzę że się zagnęła, zaczyna czmychać nosem i ustami, co było u niego zawsze oznaką wewnętrznego poruszenia, nareście przewracając kartkę woła: Czyjeż to u dyabła? Ja mu na to: Nic mi o tem nie pisze Królikowski. „To Słowacki, tak Słowacki, niezawodnie“ — woła znowu. Gdy przyszedł na ustęp wymierzony do siebie, począł kręcić głową. „Nie, nie to nie Juliusz, on mię już tak nie kocha“, a nareście rzeczy wskazując na mnie: *Aut diabolus, aut tu!* Wypieram się jak mogę. On tylko ręką kiwa, a czyta dalej. Nie było rady, musiałem się przyznać, gdy przyszedł na wiersze przerobione z Mickiewicza (I stanie się cud, — I rozraduje świat), bo bojąc się zrobić pomyłki, pytałem się go o ich brzmienie tego dnia, com wiersz mój pisał. Teraz sobie to przypomniał, i już ani chciał słuchać mych zaprzeczeń. Gdy wszystko przeczytał rzucił mi się w objęcia i rzekł wzruszony: Jeżeli nie twe pióro, to twą przyjaźń powinienem być od razu poznać, zajęchałeś mi pod samo serce — odpowiem ci, odpowiem, i niezadługo! Prosiłem go, aby mi wytknął, jeżeli go co razi, bo jeszcze był czas poprawić. Żądał tylko abym zmienił wyraz koronny, na początku ustępu, który się do niego odnosił. Długo nie mogliśmy się zgodzić na inny przymiotnik. Nareście stanęło na tem, że umieszczę tajemny. Owa to drobnostka dała pochop naszemu wieszczowi do dwóch ostatnich jego utworów. Tę też tylko ma ona wartość. Pierwszy był już gotów z początkiem następnego roku. Drugiemu, który wyszedł w kilka miesięcy później, nastreczyły tytuł te z mego „Wiersza“ wyrazy:

Weź w natchnienie, wyjdź na Synaj,  
 Ty najmłodszy, najmilejszy, —  
 A zeszedłszy, grom, zaklinaj,  
 Póki dzisiaj się nazywa  
 Dzień dzisiejszy.

Zbliżała się już chwila naszego rozstania. Lada dzień miała przybyć jego żona, z którą przez Paryż miał się udać do Nicei na zimę. Jednego dnia nie przychodzi, wpada dopiero wieczór z doniesieniem, że przyjechała. Powiada mi zarazem, że noc miał okropną, myślał już że umiera, chciał przybieść do mnie, aby sam nie umierać. Życia jednak i siły było w nim bardzo wiele, jak to następujący przypadek okaże. Z powierzchowności nie wyglądał on na pana. Czystość posuwał do najwyższego stopnia, zawsze cieniuteńką i świeżą nosił bieliznę<sup>34</sup>, ale o resztę nie dbał. Surdut byle jaki, zawsze do ostatniego guzika zapięty pod szyję, halsztuch z którego najczęściej kołnierzyk ani na włos nie wyglądał, przytem nie kapelusz ale czapka nieco w tył zwieszona. Czuł sam że mu to nie dawało okazałej miny, i dla tego, skoro żona przybyła, przyodziewał na przechadzkę kapelusz. Ale i to go niezabezpieczyło od grubijaństwa jakiegoś woźnicy. Wracał właśnie z przechadzki do *Badischer Hof*, gdy jakiś furman, idąc obok ciężko naładowanego wozu i lekceważąc sobie takich przechodniów, tak junacko począł śmigać biczem, że panią Kr. przez oczy nim ściągnął. Z. rzucił się wprost na niego by mu ten bicz połamać, nie zważając na ogrom i żyłastość przeciwnika. Przez kilka chwil z nim się pasował, nie ustępując kroku, ale oczywiście byłby mu uległ, gdyby była służba nie wypadła z hotelu i nie zasłoniła go przed kułakami rozjuszonego zawadyaka. Jeszcze drżał, jak mi to w parę godzin po wypadku opowiadał. Gdym był pierwszy raz u nich na obiedzie, matka wyniosła ku mnie śpiącego dwuletniego Adzia. Sliczną była i matka i dziecko, i przypomniała mi owe wiersze Goethego: Niechaj mię powita taka piękna kobieta, i taki na ręku synek. Przy obiedzie Z. był bardzo wesół, częstował mię koniecznie winem pani Branickiej, lunel z pomarańczowemi skórkami, opowiadał rozmaite dykteryjki, mówił o swych dziecięcych latach, między innemi że w ósmym roku swego życia czytał ukradkiem Apokalipsę, że raz mu się śniło, iż ogromna gwiazda spadła na ziemię, i zaległa wielki obszar jakby jaka ognisto-kryształowa góra, wchodzi, spostrzega nieprzeliczone korytarze wyłożone samemi karmelkami i cukrami. Zaraz uważał on to za pewne drgnięcie poetycznego ducha. Rzecz dziwna że i ja podobny sen w dzieciństwie miałem i opisałem go później w wierszu do mej siostry, na wiele lat wprzód nim mi swe widzenie Z. opowiadał; być może, że wszystkie dzieci śnią coś podobnego, tylko u największej liczby to drgnięcie jest pierwszym i ostatniem. Po obiedzie wszystko troje paliliśmy cygara, Adzio spał obok nas wciąż, mając ręce złożone jakby do modlitwy. Matka mówiła mi, że on tak co chwila składa rączki za Polskę. W parę dni potem przyszło pożegnanie. Przyrzekliśmy sobie nawzajem piływać jeden do drugiego jak najczęściej. Oprócz tego musiałem mu dać obietnicę, że w Nicei go odwiedzę. Zawsze on obsypywał mię drobnemi podarkami. I teraz przy pożegnaniu, ponieważ miałem do Włoch jechać, dał mi jakąś dawną po przodkach spuściznę,

z wierzchu tępy nóż srebrny do krajania owoców a w środku ostry obosieczny sztylet.

W początkach grudnia wyjechałem przez Strasburg i Marsylię, gdzie spotkałem świeżo ożenionego Bohdana Zaleskiego, do Rzymu. Z drogi pisałem do Zygmunta. W Rzymie stanąłem 16-go grudnia. Pierwszy od Zygmunta list, który mam w moim zbiorze, nosi datę 18 grudnia i tak brzmi:

## 1.

Nicea. 1846. 18 Dec.

Kochany Stanisławie,

List twój wczoraj odpiecztowałem. Tysiączne dzięki ci zań. Lecz przecież Bogdan pojechał do Rzymu i Neapolu na miodowe księżycy czy marcepanowe słońca. Tak Konstanty mi zaręczał jeszcze temu dni trzy. P. Adam, o którym miałem wiadomość niezachwalnie pewną, coraz bardziej odbiega od pana Andrzeja, zawsze go za znamienitego bardzo ducha uważa, lecz już nie sądzi go bezpośrednio natchnionym. Wątpię bardzo by miał oną konferencyę z Guizotem. Innym którzy przypuszczeni zostali do jej mienia, wciąż odpowiadał exprofessor: „*Mais que Diable voulez vous que j'y fasse?*“ Ten wyraz *diab'le* kwitł co chwila na ustach jego. O Bogu ani wzmianki nie było, bo też Bóg jej nie potrzebuje. Gdy zacznie sam o sobie wzmiankować, posłyszają mowę jego narody od bieguna po drugi biegun — a szpicruta wyśliznie się z rąk Palmerstona, a Liewenowa się nie przyda już radą na nic Guizotowi. Piędź ta ostatnią ziemi nam wydarła, ten czwarty rozbiór, dokonany w 19-tym wieku, więcej niż cokolwiek innego posunął naszą sprawę. Każda rana zadana czemuś świętemu i dobremu, staje się daleko głębszą, przez odbicie sprawiedliwości Bożej rządzącej dziejami, raną temu, który ją zadał. Mordercy pchnęli siebie. Wcześniej czy później, kwestya ta już tylko o godzinę, a o niej tylko Ojciec Niebieski wie według słów syna, wcześniej czy później, z tej dokonanej absolutnie zbrodni, wyjdzie nasze Zmartwychwstanie czyli raczej zewnętrzna okoliczność, która nam pozwoli z grobu się wychylić, bo prawdziwe nasze zmartwychwstanie nie za nami tylko w nas. Nadanie mu kształtu tylko od Europy zależy. W danej porze korzystać będę z twoich rad, w stosunku do p. Adama. Jednak on tak jest ze mną, że gdyby chciał mnie widzieć, bez czekania na moją odezwę i żadnej ogródki, natychmiast-by mi dał znać o tej chęci swej, przecież nigdy nie zaprzestał obcowania z nim, i związku nasze trwały nieprzerwane. — Ten Adam [G.] ten jednooki co w Romie, oto pierwowzór Judaszowy! oto człowiek! Jak jaźń ludzka może wytrzymać w takiej piersi, nie uwolnić się od niej, nie



wytrysnąć z niej, nie uciec w głąbie wszechświata od hańby, w którą się zaskorupiła na ziemi, tego nie pojmuję. Żebym był nią w nim, dawno jużby był on pękł a ja wyleciała, i wyleciawszy uciekałabym w nieskończoność nieskończenie, coraz dalej od ziemi i trupa mojego, dniami i nocą, przez mleczne drogi i mgławiska, za słońce, za Orjony i Syrjusz, i tak przez wieczność całą. Nieszczęśliwy człowiek, nieszczęśliwy! jeszcze przyjść potwarzać naród swój, świętość swoją ziemską, u stóp ojca kościoła! przed zastępcą Chrystusa oskarżać męczenników, oskarżać, to jedyne co chrystusowego zostało w świecie dzisiejszym! Nieszczęśliwy człowiek — tak głęboko rozstrojony i upadły, że pogarda jakby w litość się przesila nad nim. Wiesz, co Lear o kobiecie, to o nim ja czuję i mógłbym krzyknąć: Ciemność, brud, zgnilizna, pfuj! pfuj! pfuj! To mi przypomina, że w Romie jest druga podobna istota ale płci odmiennej, warto się jej na wszystkie boki strzedz, żona I. S. Mówią, że ona tego roku w Czechach przesiadując przez lato u rządzącego Austrią zgrzybielca, namówiła go, nie bez oporu jego, do zajęcia ostatniego zakątka naszego. *Cave!* Tysiąc dzięków za Henryka ci składam. Gdy masz czas i chęć po temu, przypomnij sobie, że tu każdy list twój będzie mi pociechą. Druś paszportu nie dostał i ruszył do Galicji. Ogromnie sprawą chłopską zajęty, utył niezmiernie, zresztą zdrów. Na nowy rok urzędzenia w stosunku do chłopów będą ogłoszone w Królestwie, ale zupełnie nic nieznaczące. Że zwiną królestwo także słysząc. Nikt nie zmartwychwstaje jedno z grobu, — gdy grób absolutnym będzie, pocznie się odżyć! Na zawsze kochany Stanisławie, pamięć dni Heidelbergkich należeć będzie do lubych wspomnień życia mego. Niegorzkie to dni były — a więc szczęsne.

Twój *Ruinowy*

W liście powyższym najprzód jest mowa o Bogdanie Zaleskim, który miał jechać do Rzymu i Neapolu, ale, jak to donosiłem Zygmunтови z Marsylii, zmienił projekt i najprzód udał się do Florencji, gdzie podówczas Daryuszowie Poniatowscy przebywali. Adam, to oczywiście Mickiewicz, a Andrzej — Towiański. Mówiono wtedy, że Mickiewicz, który był postradał katedrę w *Collège de France*, miał mieć konferencyę z Guizotem. O jej szczegółach, opowiadanych mi przez Bogdana, donosiłem Zygmunтови. Zdaje mi się, że w tej konferencyi była przeważnie mowa o Krakowie. Musiałem także mu donosić, że Mickiewicz pragnie z nim się zjechać, lub listownie porozumieć. Drugi Adam, to Gurowski, który był przyjechał do Rzymu równocześnie z p. Błudowem, przysłanym przez Cara do układów o kondordat i który ostentacyjnie wszędzie po salonach i na ulicach ukazywał się z Moskalami, osobliwie z synem tegoż Błudowa. O Pani I. S. z domu

P., późniejszej C., byłoby zbyt czynnem więcej mówić nad to, co powyższy list przy końcu w sobie mieści.

Następny jest z daty 10 stycznia 1847.

## 2.

Kochany Stanisławie,

W tej samej chwili wczoraj, w której twój odbierałem, z poczytania brałem tu przyłączony Drusia list. Szlę go tobie, bo myślę, że cię zajmie, bo zawiera wiele szczegółów domowych dla ciebie, i wiele też szczegółów wewnętrzno-ojczyznianych, ponurych, smutnych szkaradną niemocą, do której zda się doszła szlachta u nas. Tam gdzie on *Fatum* wspomina, myślę, że pod *Fatum* rozumie wyniesionego z wody krzystej na barkach słuźalca. Czy ci się Xerxes nie przypomniał lub jaki barbarzyńiec głośny? Dalej, kiedy wspomina o kłopotach żandarmowych i odwiedzinach popierowych, takie tego znaczenie: Krieg oskarżył go ze Lwowa przed Solda szką naszym, że pisuje przeciw rakuzkiemu domowi w Trzecim Maju, naślano więc odwiedziny i przepatrywaczy, a choć nic nie znaleźli, pasportu mu nie dawano. Kriegowi wszakże Soldaszka nasz odpowiedział, że niewinnym jest, że nie drukuje nic przeciw *Iustitia regnorum fundamentum*. Wiesz, że to napis bram w Wiedniu. Gdy przeczytasz, bądź łaskaw odeślij mi ten list jego, bo chcę go zachować jako ślad bieżących okoliczności. Opis twój Rozjemcy przejął mnie czemiś głęboko uroczystem. W każdego wzrok wlepiony a sto tysięcy ludzi, to jak wszechobecność zmysłowa jakaś. Co to za stan rzeczy planetarnych dotąd, kiedy po wielu złych lub miernych następujący jeden wzniosły i świetlany duch, jednak taki z konieczności musi wywierać skutek, że się starzy do męczeństwa a młodzi do mordów gotują. O Szekspirze! Trudno być rozjemcą tam gdzie Kapitol i Tarpejska na wzór brata i siostry — tam gdzie nigdyś neroński wymysł sproszonych na wieczerzę konsulów i senatorów spuszczone mi fiołek i róż z sufitu stogami zadusił. Dziś z dołu fiołki i róże lecą — dziś na dole przyjmujący i biesiadę dający Neron, a konsul, to jest ten co radzi i poradzić pragnie, może także zaduszony będzie! Strach na świat patrzeć nie złudzonem okiem i widzieć, że dopiero na zgniliźnie świeże siejby najzileńsze, że wszędzie śmierci potrzeba na kolebkę życia, i że to dziecko wściekle póty płacze, piszczy, póki takiego powicia od losów nie wydrze! A jednak to nie jest przecież prawem rządzącem naturą ducha ludzkiego. Niedorośli to *Fatum* tylko. Chrystus objawił istotne prawo duchów do pełni doszłych — a to przemienianie się następne; wolne wywijanie przyszłości z dni przeszłych „nie zdeptując nigdy kurzącego knota ni nadłamaną dołamując trzciny“. — Miałeś prawdę, widział się ex-

professor z ex-professorem. Temu, co nie ministrem, własnem w tych dniach wyprawił to co Bohdan radził, t. j. dzięgi. Użyje ich jak zechce. — *Solve crucem* nie w Fauście ale w hymnie przez Heloizę ułożonym nad grobem Abelarda. W Fauście owszem niewiasta czyli serce zbawia rozum mężki. W Hymnie zaś tym niewieście serce prosi się u rozumu mężkiego o zbawienie. Średnie wieki tem wyznają, że im na rozumie, nowożytnie zaś, że im na sercu brak:

*Tecum fata sum perpessa,  
Tecum dormiam defessa,  
Et veniam in Sion.  
Solve crucem,  
Duc ad ucem  
Degravatam animam.*

Chór Zakonnicy:

*Requiescant a labore  
Doloroso et amore.*

A w końcu Fausta jest „wieczne niewieście w górę mnie porywa“. Cóż to za przeklęty Niemczuch, który cię o taką stratę przyprowadził. Juściż musisz go odszukać i upomnieć się. Juściż on może, jeśli zgubił, postarać się o odnalezienie u administracyi pocztowych. A to miła rzecz! Lepiebyś mnie ani był widział na oczy, kochany Stanisławie, a język polski miał *L e a r e m* więcej. Wciąż mi choro — bezmocnie — bezkwietnie w piersiach, bezowocnie na stoliku. Czasami zapadam w piekło żaloby! — Jeśli potrzeba ci wiedzieć o tej matce i córce, których szukałeś dnia pewnego, gotowe-m cię oświecić. Jeśli zaś nie potrzeba ci o nich wiedzieć, to i mojej oświaty nie zażadasz! Facylliny (tak S. nazywam) odpowiedź na dyplomatyczność Władysławową, Hyjenową, rozbójniczą, ale bo też Hyjena drzymie wiecznie w niej, obwiązana na pysku ogonem lisim niby maską.— Konst. już w Paryżu. Deputat go zawezwał, choć z umniejszeniem pensyi. Tysiąc serdecznych dzięków ci składam za list twój i proszę cię, skoro masz czas, siadaj i pisz do mnie. W samotności absolutnej, w której tu żyję, zstępują do mnie twe listy gdyby świata żyjącego odszum i życia mi przydają. *Vale et ama*. Powiedz Kolizeum odemnie, że mi lepiej niegdyś było wśród jego arkad, niż będzie przez resztę życia. Czy jest Edward Jaroszyński w Rzymie. Pisałem doń na tęce Torlonii. Powiedz mu to. Castelbianca ściśkam. Król Bawarski, 60-letni wieszcz, zakochał się jak szaleniec w Lolly Montes. Co robi Gurowski? Królestwa zcesarstwienie odłożone aż na parę lat.

Twój *Heidelbergski*. Nic. 47. 10 Stycz.

Najprzód w powyższym liście mowa o Andrzeju, moim bracie stryjecznym. Ten, po rzezi galicyjskiej, napisał do nas o tych strasznych wypadkach, nadmieniając, że w jego dobrach, w Dobrzechowie pod Jasłem, już chłopstwo rozhułkane zabierało się do rabunku i podpalenia budynków, gdy wszystko uratowała przytomność wiernego włóдаря czy karbowego, nazwiskiem Tęczar. List ten przez nas udzielony księciu Adamowi Czartoryskiemu poufnie, został przez nierozwagę wydrukowany w Trzecim Maju. Po nazwisku Tęczara władze austriackie domyśliły się kto ten list pisał. Krieg natychmiast denuncyował Paszkiewiczowi Andrzeja, przebywającego wtedy w Piotrowicach w Lubelskiem. Nasłano żandarmów, odprawiono rewizyę, a lubo nic podejrzanego nie znaleziono, wyjazd Andrzejewi wzbronionym został. Na dworze jednak Cara a zatem i Paszkiewicza panowało wtedy oburzenie na Austryę. Oburzeniu temu dał wyraz sławny list Szlachcica Polskiego. Ztąd gromka odpowiedź Paszkiewicza Kriegowi. Oto Tenczar tym sposobem obronił budynki od rabunku i zniszczenia, że znalazłszy jakieś stare papiery rządowe z orłem dwugłowym, poprzyklepiał je na drzwiach stodół, spichrza i dworu i napającemu motłochowi wskazał, że to cesarskie. Andrzej, uwiadomiony na czas o rewizyi, kazał ważniejsze papiery upakować w skrzynkę i takową w lesie zakopać. Wydobyto ją potem w lat kilka. Papiery zbutwiały. Nieodżałowana szkoda manuskryptu, który zawierał potoczne dzieje dziewięciu miesięcy powstania listopadowego. Mało kto tak wiadomości i dobre szczegóły zbierać i tak układać umiał, jak Andrzej. Zaraz po przyjeździe do Rzymu opisałem Zygmunтови pierwsze moje wrażenia. Mówiłem mu, że wcale się tem nie raduję co widzę, że Papież-Rozjemca nie poradzi w końcu tej nawale, co go pcha wciąż naprzód, że te tłumy pędzone co wieczór ku kardynałowi przez rewolucjonistów, by sprawiać owacye Papieżowi, zginają kolana nie przed Namiestnikiem Chrystusa, ale przed Monarchą, którego pragną w ten sposób użyć za swe narzędzie, cisnąć coraz dalej a w końcu zepchnąć w przepaść, w której razem i kościół i monarchia świecka pogrążoną-by została. Ztąd powyższe piękne słowa Zygmunta o Rozjemcy. Pieniądze, które w tym czasie posyłał Mickiewiczowi, były, o ile sobie przypomnieć mogę, na jakiś cel patriotyczny, lubo i osobiście panu Adamowi wiele zawsze on świadczył. Wzmianka o Fauście należy do jakiejś dyskusyi, którąśmy prowadzili o duchu średnich wieków w porównaniu z dzisiejszemi. W Heidelbergu tłómaczyłem Leara. Ukończywszy przedkład, posłałem go bratu przez jakiegoś Niemca, który go zgubił. — Zygmunta nie cierpiał S. S., raz że zatrąła życie jego przyjacielowi, powtóre, że ją podejrywał o intrygi przeciw Polsce z Metternichem i innymi dyplomatami austriackimi, osobliwie

w sprawie krakowskiej. Wyrzucił to jej raz ustnie Władysław Zamojski. Na to rzekła: Panie Hrabio, kochałam twego dziadka i babkę w Puławach, bom się przy nich chowałam, szanowałam twych rodziców, ale żebym miała aż do trzeciego pokolenia przeciągać wdzięczność i słuchać potulnie takich wyrazów, to byłoby za nadto. Poczem wstała, odeszła do swego gabinetu i drzwi za sobą zamknęła. Widywałem ją wtedy często u Pani Sobańskiej, matki pani Giżyckiej. Bardzo uprzejma, ale z prawdziwie jaszczurczem okiem. Powyższej odpowiedzi udzieliłem Zygmunтови. Ztąd jego nowe przeciw niej oburzenie. „Wyniesiony z wody krzystej na barkach służalca“ jest oczywiście Mikołaj, który przeprawiając się pod ten czas przez jakąś rzekę krą płynącą, wpadł do wody, aż go, jak mi się zdaje Orłoff z niej wyniósł.

## 3.

1847. Lutego 18. Nicea.

Mój drogi Stanisławie,

Stęsknionemu wręście przybył list od ciebie. Od kiedym rozmawiał z tobą byłem — zaprawdę — byłem w krainach śmierci — byłem tam kędy dusze od ciała oderwane, czyli raczej tam gdzie Duch miasto występowania pod oboma żywota kierunkami t. j. pod ciała i duszy postacią, występować tylko na czas pewien lub czasy pewne może pod jednym, pod postacią duszy samej. To albowiem śmierć stanowi, jeśli się ściśle pilnujesz dogmatu, który ci dopiero żywot powtórny, żywot wieczny, zwiastuje pod warunkiem zmartwychwstania czyli przybrania innego, przemienionego wprawdzie ależ ciała zawsze. — Stan śmierci zależy na ubytku — na bezmocy. Duch tylko dusz nieidealnie, pozbawion rozwiniętych, wydłużonych z siebie organów ciała, się objawia, albo raczej mówiąc, właśnie się nie objawia, jedno cicho i skrycie duma, cierpi, tęskni, wspomina lub spodziewa się w sobie, na zewnątrz wszelkiego promienienia i działalności pozbawion. Stan śmierci jest odpromieniem, jest przygastością, odżywotnieniem, wcale zaś nie odbytnieniem, odjestwotnieniem — a jest ogólnie mówiąc niedokładnym i niezupełnym stanem — jest stanem przejścia, jest międzyaktem między jednym a drugim żywotem, między pełnią planetarnego życia a następnie wiecznego. Pewnie nie możesz się domyśleć czemu się tak ośmiertelniam? Słuchaj — odkryto najchrześcijańsze odkrycie, jakie dotąd zdarzyło się w królestwie natury — w istocie chrześcijaństwo nie może się dokładniej wyrazić jak przez ciało eterowe, którego własnościami miłosiernie pozbawiać nerwy wszelkiej boleściowości, a z drugiej strony duszę wprowadzać w stan pośmiertnemu zupeł-

nie podobny i wykazywać jej nieobalalną i niespożytą nieśmiertelność w stanie takowym. — Dwomam próbował nawroty. Zawszem doznał takich samych wrażeń zupełnego oddzielenia duszy od ciała i śmierci. — Słuchaj! Zrazu gdy do nozdrzy szerokoszyjny flakonik przytkniesz a ustami powietrze wypuszczasz, wciągając parę eterową nosem (2-ch uncyi w flaszcze dość), zrazu uczuwasz najlększą lekkość — ptasiejesz — szukasz, kędy skrzydła twoje — wyciągasz ramiona, które piórami się stały — czujesz, że mógłbyś przez wszystkie drogi mleczne na przebój się przedrzeć, przez wszechświat przejść i dojść aż do Pana Boga — na tem pierwsza chwila się kończy. Ciągniesz dalej w płuca — nagle z nieśmiertelnej polotności, wpadasz jakoby w poblizę śmierci wiecznej, ciemności bez miary walących zewsząd ku tobie. Zdaje ci się, że twój żywot przed tobą stoi — pod postacią widnokręgu z światełka błękitnego. Co chwila ciemności zalegają go szerzej. Doskonale wiesz, że to śmierć cię zajmuje — że to śmierć idzie, przytem przytomność masz wyborną i do przytomnych ciągle się odzywasz tłumacząc im co się tobie przydarza. W miarę jak owe ciemności coraz bardziej zachwytyją ten widnokrąg C i e b i e, ten widnokrąg istnienia twego żywotnego, tam mniej możesz obcować z ideami lub wyobrażeniami w tobie samym będącemi, o osobach ci znanych, drogich, o sprawach ziemskich, nawet o Polsce. Stopniami lud żyjący, zaludniający ciebie, myśli twe, pieśni, pomysły, wyobrażenia, żądze, chęci, kochania, wstręty, wymierają — odludniasz się, pustyniejesz, ścięśniasz się, skupiasz się w coraz drobniejszy, ale za to też w coraz twardszy punkt środkowy Jaźni twej. Z dębu — stajesz się żołędzią — ale żołędzią czującą jak najdobitniej, że przetrwa wieki wieków — i jeszcze wieki wieków! Stajesz się kometą, odogonioną, samem jądrem się komety stajesz, ale jądrem przeświadczonem o wiecznotrwałości swej. Czy mnie pojmujesz? Im bardziej tracisz na powierzchni, tem głębisz się bardziej — im więcej na żywotności tem bardziej uczuwasz że s i e b e j e s t — im bardziej na możności obcowania z żywymi rojami, które składają w stanie żywota Ducha twego l u d n o ś ć, tem bardziej przychodzisz do przekonania, że ten D u c h w ostatniem swem odosobnieniu od wszechświata, sam w sobie n i e ś m i e r t e l n y m, n i e z a t r a c o n y m, n i e s k o Ń c z o n y m jest! I ztąd wynika, że kiedy już ciemności zaległy cię zupełnie, że kiedy już nie możesz do otaczających słowa wyrzec, że kiedy widzisz i znasz oczywiście, że po ludzku mówiąc oto śmierć, ty wcale o siebie nie troszczysz się ni się lękasz śmierci tej dla siebie, bo ani na chwilę ci się nie marzy żadne znicestwienie ni odbytnienie, ale żal ci ogromny, że nie możesz tajemnicy tego ostatecznego odchodzenia i odrywania się od życia, wypowiedzieć przytomnym. Rodu ludzkiego ci żal, że nie będzie wiedział o tem! Dwa tylko punkciki błękitu ci zostały przed oczyma z całego widnokręgu życia. Turkot w uszach — ba! nie w uszach ale jakby prześwidrowany pal hałas, łoskotu, brzęczenia od mózgu po sto-

py — i wtedy właśnie śmierć owa rycząca i obchodząca cię jak Lew zaczyna w niemożności pokonania ciebie, od ciebie się odsuwać. Zwykle jużes wtedy wywahał ze dwie uncye — kropli nie pozostało we flaszeczce. Po pięciu lub dziesięciu minutach z tych otchłani wieczności nazadeś wrócił na niwy planetarnego żywota — znówes w swojej stancyi, śród swoich — przez tę ostatnią tylko chwilę nie mogłeś do nich i słowa powiedzieć — Byłeś po trupiemu. Zresztą przez ciąg cały doświadczenia, wciąż przytomność i wolę i nawet żywaś miał wymowę. Cóż innego ogólnie mówiąc może być w śmierci? Czy nie to samo oderwanie od wszechświata? nie ten sam stan bezmocy co do czynu a potęgi co do uczucia własnej nieśmiertelności? Dodaj do tego dla jednych odpoczynienie, dla drugich męki okropne, wurzuty, gorycze, dla innych nadzieje i marzenia, dla wszystkich zaś, powtarzam, brak obcowania z okręgami żywota, czy to żywota drugich czy to żywota własnego. Otóż eter na kilka minut wprowadza twój organizm w tę samą modyfikacyą, w jaką śmierć może na wieków kilka! Odrywa cię od ciała twego, nie jego w proch rozsypem, ale sztucznem niejako chwilowem jego zobojętnieniem. Myślę, że coś ogromnie opatrz nego w tem odkryciu. Heglisty się dowiedzą jak niepodobieństwem jest duchowi się roztopiać i rozplęwać na wszechniach jakichsiś. Łatwiej mu stokroć zdobyć niebo niż przestać być. Heglisty się o tem przez Eter dowiedzą. Uważasz: kto wiarą nie wierzy, a Logiką doszedł do wyrozumowania sobie nicestwa własnego, ten trudny do przekonania — czemu go przekonać jeśli nie praktycznym wywodem takowym, bytową, że tak powiem śmierci demonstracyą? Takową Eter przyniósł. Nie nudziłbym cię tak długo tą rozprawą, gdybym głęboko o tem się nie był przeświadczył. Teraz nikomu nie radzę żartów z tem nowem odkryciem — wszelkie nadużycie powiodłoby do kretynostwa i rzetelnej, szczerzej, nie udanej już śmierci. Spróbować warto — a potem gdy ból głowy lub zębów nieznośny nęka, w rzadkich razach, warto się bólu pozbyć takim sposobem. Próbowałem na migrenę wściekłą, jakby ręką odjął. Oto masz moje sprawozdanie z krań śmierci! — a teraz o czem innem. To tylko dodam, że nazajutrz i przez dwa tygodnie jeszcze czujesz jakby lekkość nadzwyczajną umysłu i ubytek melancholii, Jednak powtarzam, żadnego nadużycia — bo to zgonu podobieństwo łatwo by mogło w zgon sam się przeistoczyć!

Konstytucya pruska przypomniała mi salon starej kasztelanowej Połanieckiej, na którym stało napisano: nie wolno rozmawiać ani o Religii ani o polityce. Odtąd Król Jegomość pruski będzie jak Paskał z wieczną przy sobie przepaścią. 617 sobie wściekły[ch] i skaleczonych w miłości własnej swej ludzi zgromadził i do sjebie przypiął, bo jakżeż przecież Baden, Wirtenberg, Francya, Anglia, kpić będą do rozpuku z tych niedoroślą politycznych. Nie Konstytucyą ale Rewolucyą nadał Prusom Fryderyk Wilhelm. Lepiej nie zapraszać na żadną kawę, niż na kawę bez cukru. Szkapę chuda

i nędzną dał stanom pruskim. Jak one wsiedą na nią a hukpi i siar-  
niczków jej pod brzuch nakładą, jak Rzymianie swoim Barbom na  
Korsie, to się szkapa jak puści z *Piazza di popolo*, jednym pędem  
doleci aż pod Kapitol. Bóg jeden wie ile w biegu ludzi trupem  
powali na Korsie! Żałuję tylu dobrych chęci niezdatnych na nic, tylu  
zabiegów na powstrzymanie, które w niezręczności swej posłużą  
tylko na podjudzenie. Rozjemcą się nie rodził — raczej Ludwikiem  
XVI-ym. Biedny I., biedny, krew u tego człowieka płynęła miłością  
dobra i ludzi, po żyłach. Ogromna strata dla emigracji. Czasem ba-  
nialuczył w mowie, ale w czynach to był najchrześcijański człowiek,  
najcichszy, najlepszy, najmiłosierniejszy, z owych cichych rzędu  
o których Chrystus mówi, że im się rządy ponad ziemią ma ą do-  
stać kiedyś. Nasi Zmartwychwstańcy się nie spisali. Żadne prawo  
kościelne nie kładło na nich obowiązku nie odwiedzenia jego ciała  
i nie odmówienia modlitw nad nim, bo nagle umarł, a kościół ni-  
gdy o nagle umarłych nic nie przesądza — owszem, przypuszcza  
zawsze dobrą stronę — przypuszcza, że byliby zapragnęli spowiedzi  
i komunii — zatem każe im cześć pośmiertną wyrządzać. A oni nie  
przyszli i przyjść nie chcieli. Ni po katolicku, ni po bratersku, ni  
po polsku. Bardzo mi się to nie podobało. Doskonale owdowiałej  
odpowiedziała twa interlokutorka. Ślicznie wymyślone było malowid-  
ło na gromnicy. Zmartwychwstający Chrystus, Duch Św., cierń koło  
orta — wszystko co tylko o tem pomyśleć się da. Wszystkie odpo-  
wiedzi Rozjemcy dzielne i piękne tak Lutrom jak obłudom. Co się  
tyczy owej matki i panny, ponieważ tam przesiadujesz często, musisz  
więcej odemnie wiedzieć, bo sam patrzysz, co prawda straszna jest  
wyskakująca zawsze na wierzch rzeczą. Krótko mówiąc zdaje się, że  
pusta istota, próżna, namiętnie goniąca za stanem małżeńskim, sama  
się rozmaitym ofiarująca mężom, gotowa nawet kochać się w Schiz-  
mie, byle ją Schizma pojęła żonato — wtem się pokazuje, że już  
Schizma żonata, a że zatem byłby przypadek srodze prawem angiel-  
skiem pokaran. Wreście z matką ciągle szarpaniny, niesnaski, gniewy,  
tak, że czasem matka gorzko płacze i obrażoną się czuje. Zbierz  
to wszystko razem i pomyśl czybyś życzył przyjacielowi takiej wy-  
granej na loteryi małżeństwa? *Relata refero*. Sam nigdy nie oglą-  
dał, lecz że oglądasz ty, więc albo mnie skarć za potwarz, albo  
z własnych i moich korzystając uwag, redymuj się *ab inferis*! Może  
komu innemu przypadłaby do smaku, do usposobienia, wreście  
w o l n o ś c i w stanie małżeńskim, takowa wietrznica. Ale tyś mi się  
przyznał, że w tym stanie pragniesz słodkiej n i e w o l i t. j. ogni-  
ska domowego, światło-cichych i rzewnych żarów, spokoju, ode-  
tchnienia, przywiązania, wspólnych serdecznych gruchań itd. itd.  
Zatem nie trafiłbyś tu do zamierzonego celu. *Dixi!* A wierz, Stani-  
sławie, że kiedyś puścił się na taką gadaninę to w dowód serdecz-  
nego przywiązania i przyjaźni dla ciebie — bo strach aż, jak mi  
nie miło pisać przeciw nieznajomej i przeciw kobiecie. Wiesz jak  
Thiersa przewali teraz? *La fleur des Drôles* — dowcipnie nadzwymy-



czaj. Palmerston i Guizot wyszli na dwie akuszerki, tylko o małżeństwach, tylko czy dzieci będą lub nie gadają. Izba Deputowanych świńska nad miarę. Rozprawiają o Dumasię, że popłynął okrętem rządowym do Afryki, a o Krakowie ledwie wspomną. Błazny wyzute z wszelkiej czci i sensu! — Ktoby się urodził z owdowiałej i Gurrowskiego wedle pomysłu Aleks. P-go? chyba sam Antychryst. Ale nie, to za olbrzymie na takie dwa błociska — urodziłby się kamerdyner Antychrysta! Proszę cię, każ powiedzieć Edw. Jaroszyńskiemu, że list u Torloniego mój do niego i że go ściskam serdecznie. Czy Sobolewski przyjechał do Rzymu z Aleks. Potockim. Weissenhoffowi się kłaniam. Kiedy masz czas, to pisuj — bogatą mi zawsze skarbnicą, pełną wiadomości twoje listy, a twoja pamięć drogą sercu serdecznością. Przecież my się od przedpotopowych czasów znamy. Razem kierowaliśmy się niegdyś na wolnych ludzi. Razem od lat 17-tu albośmy wyгнаńcy albo niewolniki. Póki nie zdechniem kolegujemy więc na drodze żywota. — Deputowany Konstantego wyrzucony z izby, ale wróci.

Twój Z.

*Vérité sur la Galicie* d o b r e — tylko za mało szczegółów — czy to ty układał? Dziękuję ci za ostrzeżenie o mór. s k i m.

Długi list powyższy nie potrzebuje prawie komentarza. Są w nim wręście szczegóły, nad którymi rozszerzać się i które wyjaśniać zupełnie, byłoby to nadawać ważność przełotnym wrażeniom, drobnym nader okolicznościom, nikogo prócz nas dwóch nie interesującym, dotyczącym osób zapomnianych, sądom często w pośpiechu niesłusznie lub zbyt ostro powziętym. Ilekroć więc nie dołożę objaśnienia, znać że albo zapomniał o co rzecz idzie (bo te listy przepisuję w 1873 w Dreźnie), albo czuję, iż powinna być pominięta. Listy kopiuję z najskrupulatniejszą wiernością, jednej litery nie opuszczając, aby ten, co je będzie kiedyś czytał, nie łamał sobie na próżno głowy i na puste domysły się nie puszczał. Wybrać z nich wyjątki do ogłoszenia będzie mogła tylko osoba poważna, dyskretna i przez moją rodzinę do tego wyznaczona. Teraz parę objaśnień koniecznych. W owym czasie umarł nagle S. w Paryżu. Był to człowiek cichy, serdeczny, miłosierny, ale mistyk tłomaczył ewangelię wedle swych urojeń, odrzucał kościół, niecierpiał księży, a dobroczynnością zyskawszy sobie wyrobników, kilku, czy kilkunastu biednych emigrantów, zakładał sektę, coś z Towiańskiego, coś z własnych wynysłów. Rozniosła się więc po jego nagłym zgonie wieść, że nasi XX Zmartwychwstańcy nie chcieli w Paryżu pogrzebowi jego towarzyszyć i modlitw odprawiać. O ile pomnę, wieść ta była fałszywą. Może ich nie wezwano nawet na pogrzeb, a może nowi sekciarze, jak to się kilka razy

przytrafiło, nie dopuścili ich. Sambyłem na żałobnem nabożeństwie za jego duszą urządzonem przez XX Zmart. w ich kościele u Św. Klaudyusza. Była także i jego żona. Aleks. Potocki, który wszędzie ścigał Gurowskiego i karykatury z niego rysował, mawiał teraz, że pani S. powinna pójść za jednookiego Adama. Wzmianka o Palmerstonie i Guizocie tyczy się not z powodu małżeństw hiszpańskich. Edw. Jaroszyński, bardzo zacny człowiek, ożeniony z Świejkowską, prawie ciemny na oczy, winien był swe uwolnienie z Syberji Jenerałowi Kraśńskiemu, błaganemu o to przez syna. Gaszyński sekretarzował wtedy deputowanemu Sieyes. Broszurę o Galicyi napisał Edward Łubieński.

## 4.

6-go marca 1847. Nicea.

Drogi Stanisławie!

Jużci ból nie do bolu dąży, jak wojna nie do wojny, ale do pokoju w końcu końców. Tak samo wiara nie do wiary dąży, ale posuwa się ku zrozumieniu i wiedzy, ku patrzeniu twarz w twarz i oko w oko, jak mówi Św. Paweł. Chrześcijaństwo przeto odróżnić trzeba na czasów i pór różnych, w nim koniecznie zawarłych, dwoje. Ta sama roślina, ta sama zawsze — jednak w korzeniu, w łodydze, w kwiecie, wreszcie w owocu, rozmaite przedstawia siebie samej i teje samej kształty. Tak samo z wszelkiem żywym słowem — tem bardziej z wszechżywym, z Bożem! Idealna wiara ma dopiąć urzeczywistnienia się na świecie — w promieniach słońca. Gdyby inaczej było, tobyś nie winien, będąc chrześcianinem, czynów dopełniać chrześciańskich, dość-by ci było idealnie wierzyć. Jeśli więc nie dość na tem twemu mikrokosmowi, nie dość i makrokosmowi człowieczeństwa. Chrystusowe królestwo przyjść musi — i wciąż przez wieki wieków coraz świetniej i stopniowo olbrzymiej przychodzić będzie. Ależ teraz czy myślisz, że scena, na której dramat się odbywa, nie powinna zgadzać się z dramatu akcją — wystaw mi bitwę — alarum — w kaplicy lub salonie — a znów poranek Julii i Romea gdzie na okręcie parowym! Dramatu Chrystusowego cóż jest sceną? wszechświat — natura. Za tem dekoracje natury także niejako muszą się przemieniać za następem aktów dramatu posuwaniem. W samej naturze muszą się wykryć sprawdniki słowa Bożego. Hołd złożyć mu muszą gwiazdy, planety, powietrze i wszystko co żywe na wysokościach i głębokościach! To znaczy, że coraz bardziej ród ludzki przekonywać się będzie, iż natura sama prawem Chrystusowem rządzona.—Przecież Chrystus, to 2-ga osoba Trójcy — wszak prawda? owa 2-ga osoba to intelligencya, to

pojęcie Boże o wszystkim, a zatem i o naturze. Dopiero kościół wtedy powszechnym będzie, nie jako przepowiednia, obietnica i Idea, ale jako *factum* i zdarzenie rzeczywiste, gdy się ludzie przekonają, że słowo Chrystusa jest zarazem i poezją wszelkiej idealności i matematyką nieubłąganą wszelkiej rzeczywistości — czy dziejów historycznych — czy nawet sfer natury. Otóż o takim pocieszeniu nas i uwielbieniu Chrystusa myślałem, pocieszeniu i uwielbieniu obiecanem przez Chrystusa a mającym być przez wieki dopełnianem, gdym mówił, że pierwszym odkryciem wśród martwych ciał cechę chrześcijańską mającym na ziemi, jest Eteru własność chrześcijańska mojem zdaniem na ciała inne działająca, bo im ból odejmująca, a tak nerwy strojąca, że im się śni nieśmiertelność! Jeśli to nie miłosierdzie, a zarazem nie odtajemniczenie fizyologiczne, w okręgach fizycznych, naturalnych, chemicznych, jak chcesz sobie nazwij, to ja zupełnie krzywo czuję. Wcałę nie myślę tego kłaść obok wiary, Rewelacji itd.—itd. — gdzież tam? ale to postęp tejże wiary — tegoż Objawienia. To jego przenikanie wszystkiego. Owoż pozwolisz, prawo wszędzie jednakowe, jest wielmożniejszem, niż prawo tylko w jednym okręgu wyznane i uznane — n. p. chrześcijaństwo praktykowane nawet przez ministrów, byłoby daleko szerszem na ziemi objawem, niż chrześcijaństwo tylko przez księży praktykowane — nie prawdaż? Otóż tak samo chrześcijaństwo odkryte nawet w najniższych warstwach wszechbytu, staje się nam oczewistszem, niż to, które tylko na najwyższych wyżynach Idealności się kołysze. Pamiętaj — tylko przed takim Azya się ukorzy, żydy się nawrócą. Szczęśliwi co nie widzieli a uwierzyli — prawda — w tem zasługa — ale po dniach zasługi muszą przyjść dni Tryumfu, i nawet z zasługi zasłużonych wypada postęp niezasłużonych. I o 7-ej godzinie przychodzący do winnicy u Pana znajdują płacę. Otóż 7-ma godzina bić zaczyna. Takich godzin obyczajem, że i po sto lat czasem upływa między ich dzwonu dźwiękami. Wytłomaczyłemże się mniej ciemno niż przeszłą razą? — A teraz dzięki ci Stanisławie za tę przyjacielską przestrożę i bojaźń o mnie — nie bój się nie rozpiję się Eterem. Ja z tych, którzy się niczem rozpić nie mogą — bo wciąż smutkiem pijani. Ale co szczególnego, to że w Warszawie przy próbach szpitalnych, żadnego Polaka nie zdarzyło się usnąć — niepodobnem było — nie dowodziż to żywotności rodzimej, plemienniej, wyższej niż w systemacie nerwowym Franków lub Germanów — nie dowodziż to przeznaczenia na przyszłość, bo nie na darmo żywotność dana, dana na rozlanie się w świat! Dzięki ci tysiącnie za kazanie Piusowe — wielkie tam, szerokie serce, i spokój Ducha wielki, i czyn wskazany za najwyższe! W Paryżu posłali Apponiemu rycinę wystawiającą plan medalu, który wybić mają Metternichowi: dwie głowy, twarzą przy twarzy, Metternicha i Szeli — na pierwszej imię wyryte na czole — na drugiej na szyi! Przyznasz że wyborne — Appony się wściekał. W tych dniach musiano się na Watykanie przekonać, że daremne wszystkie obłudy i układy. Zapewne ukaz

o greckiej schizmie i przysięga księży warszawskich już doszły was. Nadzwyczaj ciekawe te dwa objawy. Pierwszy rozpoczyna prześladowanie okrutne, pogańskie, śmiercią i mękami grożące co chwila, które szybkim krokiem ku królestwu i nam wszystkim posuwać się będzie — *Saeclorum ab integro* — w istocie *ab integro*, bo nazad wracamy do czasów Dioklecyanowych. Drugi, to jest przysięga, nadzwyczaj ważny. Każą księżom przysięgać, że nietylko teraz wierni będą wszystkim samodzierzstwa wielmożnościom i potęgom, ale i na przyszłość wszystkim nowym przymiotom, w jakieby mogło jeszcze się rozwieliżnić. Uważaj — z natury samodzierzstwa wypada, że nie może w żaden inny przymiot dalszy, szerszy, wyższy dla nikogo się rozwieliżnić, bo jest absolutem — prócz w stosunku do księży katolickich, jeśli uznają jego nad sobą papieństwo — tu tylko może coś przybyć autokracji i to w katolickich okręgach, zatem oczywiście ta przysięga o tem marzy, a o niczem innem! — Dalej przysięga owa każe im obiecywać, że pomimo przywiązanie lub nienawiść wierni będą, że poświęcą jedno i drugie dla władzy Rządu — przywiązanie do rodziny, przyjaciół lub nienawiść jakąś poświęcą, patrz, przywiązanie do braci  $\times$  nienawiść = X. Co to pomnożyć te dwa pierwsze wyrazy? Co wypadnie na X? czy nie X = miłości ojczyzny? Oczywiście, bo się składa ona z pomnożonego przywiązania do rodziny i braci przez nienawiść do obcych najeźdźców. Jakżeż doskonale Rząd umie wykładać i rozbiierać składkowe części całości tej — cyfry tej sumy — rozkładanie tej Idei! tylko jej samej imienia nie przytacza! Zda się, że te dwa dokumenta dowiodą komu z prawa, że *comsummatum est* i że w istocie warto myśleć nie tak o żeńskich, jak o męzkich zakonach! *Periculum in mora* — Trójca moskiewska *is at hand*! A wiesz co ona znaczy? Uważaj — Duch św. skoro nie jest wiecznem krążeniem życia między Ojcem a Synem, równo pochodzącem od jednego i drugiego, skoro tylko od Ojca pochodzi a nie od Syna — cóż to znaczy? Wiecznie Jehowa, wiecznie wszechmoc wszystko tylko czyni — ona Syna z siebie wyłania, ale ten Syn jej nic oddać nie może — ten Syn nie obcuje z nią jak równy — ona jeszcze jemu daje wszechmiłość i wszechżycie, ale nic nie odbiera odeń. Niestłuchane samodzierzstwo *auctoritas paterna* wściekła — Rząd wszystkim tak w niebie jak na ziemi — Rząd urodził z siebie wszystko — Rząd wszystko dawa — ale jemu Ludzkość nie może nic oddać — nie może obcować z nim — nie może podnieść się aż do niego, choć krzyż dźwiga — choć umrze i z grobu się podniesie — wszystko darmo — ona ducha nie ma! Takie więc wyobrażenie Schizmy o świecie i dziejach — bo co w niebie to i na ziemi — tak wiecznie, wszędzie się dzieje! Ztąd Spirytualizm w niewoli u świeckiej władzy — w końcu końców Antychrystusowością to wszystko. *Caveant consules ne Respublica quid detrimenti capiat!* Ślicznieś zrobił, żeś w Romie założył czytelną taką i urzeczywistnił takim sposobem marzone idealnie połączenie Romy z nami — przez

Irydyona! Bądź łaskaw, przyjm tu na to przyłączon papiereczek. Aleksandrowi nie mogę powiedzieć, coś kazał, bo w Wenecyi jest Konstanty, jego brat najmłodszy, żeni się z Jadwigą, córką Hermana Potockiego. Proszę cię, podziękuj tysiąc razy Castelbiancowi za jego pamięć po włosku — inną razą doń napiszę — ściskam go serdecznie — proszę cię, napisz mi, czy on nie w biedzie. Skąd ten wiersz, kto go mówi? czy to Goethego, czy Szekspira. Nie pamiętam, bym kiedy czytał, ani byś kiedy mi wspominał. Ale kto to mówi — czy natura? Rubensa widzenie nie dziwne, ale myśl niem obudzona dziwna, olbrzymiej smętności! Zapewne Chrystus wszystkie światy wiecznie podnosi ku sobie coraz wyżej, wniebowstępniej, ale nie kona na krzyżach milionowych, chyba, że nazwiesz konaniem mu na krzyżu w wieczności, każdą ranę, zadaną Boga sercu przez duchów wolne wybryki i złości — w ten sposób krzyżem byłby zaraz takim Metternich, Mik. itd. itd. Proszę cię, donieś mi czy nic nie...

Dalszej kartki niema. Jest tylko może do innego listu należący odcinek, na którym te słowa:

„Proszę cię, czy Rogier Racz. jest w Rzymie i jak do niego na pewno pisać, bo mam ważny interes“.

W każdym razie niema końca, gdyż Zygmunt nigdy nie zamykał listu bez uściśnienia i podpisu.

## 5.

3-go Kwietnia. Nic. 47.

Mój drogi Stanisławie,

Chybam się wytłómaczył ciemno jak tabaka w rogu. Na miłość Boga, jakżeż możesz mniemać bym renowacją wieków datował od odkrycia Eterowych przymiotów. Po prostu upatrywałem w tym wynalazku znaczek — jeden z milionowych, znaczek, mówię, kierunku ogólnego dziejących się rzeczy, a tym ogólnym kierunkiem jest że słowo Chrystusowe, które przed wiekami i przed planetą tego stworzeniem już było Logiką łona Bożego, było Rozumem i Wszechmyślą Bożą, coraz jawniej się wyjawia, nie już tylko jak wiara, jak tajemnica, ale jako oczewistość, jako prawo, jako prawda najprostsza, wszędzie w okręgach [z] jednej strony natury, z drugiej zaś społeczeństwa i prawności świeckich. Teraz oczewiście, że skoro przezwyciężysz jaką tajemnicę, wnet następną napotykasz — i na tem nawet żywota zależy urok — popęd — nieskończona żądza! Bo gdyby tajemnic zabrakło, zabrakłoby i Boga — lecz znów gdyby nigdy nie rozwiązywały się żadne ze stanu wiary ślepej w stan przekonania i wiedzy świetlanej, toby również Boga zabrakło. W pierwszym razie nie byłoby poezyi, w drugim rozumu — a to

najwyższy cud, że zarazem, wszędzie i zawsze, wszechmocność Boża z poezyi nieskończonej i nicskończonego rozumu się składa! W żywocie wiecznym dla doskonale już zbawionych i anielsko lotnych, jeszcze będą tajemnice — jeszcze będzie żywot dalszy, postęp dalszy — czyli życia przyszłość — więc oczywiście o odtajemniczeniu absolutnem mowy być nie może — ale o odtajemniczeniu dogmatów naszych, jest i być może. Gdy one pojmie każda dusza jako prawdę swej własnej natury, jako prawo rządzące Ludzkością, tak jak atrakcja planetami, wtedy pójdzie każda za tem prawem, i dopiero z dopełnienia tego prawa wydobędzie się czyn istotny, gmach rzeczywisty Chrystusowy, duch Chrystusowy wszędzie. Już de Maistre tego żądał i potrzebował, a dopieroż my o 50 lat bardziej znękani, biedni, tęskni niż on — a co do zasług i boleści i smutków, których ci tak serdecznie żał, nie troszcz się, dość ich zawsze pozostanie.

Ale kończę o tem, byśmy się tak nie rozpisali o Eterze, jak Guizot i Palmerston o ślubach hiszpańskich!

Nie zaraz ci odpisałem, drogi, bom był chory jak pies — od dni 15-tu zapadłem głęboko, jakiś potworny liszaj mi wyskoczył z ucha i część karku ozdobił z niesłychanemi bólami — widać sprawiał we mnie wzburzenie, jakie sprawują w toniach morskich wyspy nowe, nim przy wulkanów buchu, jak Afrodyty, z pod fal się wynurzają obcesem. Otóż cały głupi jestem i czuję sam siebie nie będącym nigdzie — miłe nerwowe wrażenie. Donoszę ci, że się wykazuje, iż Tyss. był od 5-ciu lat płatnym, że wszystkich, z którymi mówił i działał, zapisywał — a teraz żegnając Europę przesłał ostatnie swe konotatki do Warszawy, i stały się powodem wielu nowych przytrzymaniań. Przyznasz, że Szekspir nigdy do tak olbrzymiej, ostatecznej nie wygrał się ironii! I ta pierś tak nieskończenie podła przez dni 10 zdawała się mieścić w sobie serc miliony!!! *Risum non teneatis!!!* Okropnie! — Wiem z pewnego źródła, że spodziewano się od ciebie Stanisławie w tych dniach pomocy na to, by w św. Rochu Królowa i W. Księżna mogła być zawieszoną. Tak mówiono tam — lecz Konstanty złożył co potrzeba było — zatem ty już nie posyłaj! Okrutnie się lękam, by w tych czasach ta sama ręka, która uprzedziła rozwój piękniejszej rzeczy przez brzydki mord u nas, nie wystarała się o podobne fakta, w Legacyach lub gdzie bądź, by niby to światu pokazać, czego ma się spodziewać od nowego kierunku zdarzeń i żądź ludzkich! Dawny to obyczaj Lucifera, gdy spadnie z niebios, kusić pozostałe gwiazdy na niebie do podobnego upadku, i starać się wiecznie o to, by święci popełnili zbrodnię, bo wtedy przepada i świętość! bo wtedy Idee nie umie *publicum* odróżnić od ludzi obrzydliwie i niezgrabnie ją chcących wcielić nie jej własnymi, ale swemi sposobami — i Lucifer o tem wie! — Od kiedym się dowiedział — i to na pewno — o Tyss. przyznam ci się, że mnie widnokrężny strach ogarnął hypokrytów, fałszerzy, kłamców, podłych. Szkoda mój Stanisławie, żeśmy tak od-

daleni jeden od drugiego. Żebyś był gdzie blisko, to w tych dniach rady twej i sądu byłbym zasięgnął. Ale czas pędzi — dni te ujdą — i jużbyś nawet na czas nigdy nie stanął, gdybyś dziś wyjeżdżał z Romy ni ja, gdybym dziś ztąd. Powiedz mi jak się obracasz, i kiedy wyjedziesz i gdzie jedziesz? Krótko dziś piszę, bo powiadam ci cały niedomagam. Myśli w mózgu jak zdychające pająki, już martwe pośrodku, tylko nóżkami jeszcze podrygliwe? — Wiesz co sprawiło zgon Martina du Nord. Ajenci policyi nie wiedząc, że to on, publicznie go przytrzymali w domu obrzydliwym. Natychmiast nieszczęśliwy starzec apopleksyą uderzon — a w miesiąc później drugą — i skonał! Duchatel tak mu się odwzięczył za jakąś plotkę przed królową o żonie Duchatela — wypatrzył go i kazał policyi iść do tego domu nie mówiąc kogo tam znajdzie! O hiszpańskiej Izabelli twierdzą, że Assyż do rozvodu idzie, że ją mają w klasztorze zamknąć, wręście, że Montpensier, z żoną już w ciąży, rusza do Madrytu i osiada tam! 5.000.000 franków danych bankowi paryskiemu przypominają mi pensye przed rozbiorem płacone kilku panom i królowi. Dziś królami Francyi banki, giełdy, mieszczaństwo. Pod takim kształtem dziś mieszczaństwu pensyą się płaci, a mieszczaństwo radę przyjmuje. Dziś głupcy i podli, lecz potomność po skutkach sądząc przewzie ich zdrajcami! Guizot się opiera, chce by w kontrakcie wyrzucić podsunięte północne słowa „*pour rendre service*“. O słowa chodzi a nie o ducha! Zdaniem mojem, struna naciągłiwa zdarzeń, mokra od krwi i łez naszych, teraz już niedługo pęknie. Za wiele podłości i brudu. Tak dalej nie może iść. Wszyscy głupstwa robią.

Ściskam cię serdecznie mój drogi.

Twój *Heidelb.*

List ten głównie zajmuje się, równie jak poprzedni, rozprawami, które się pomiędzy nami wszczęły z powodu ogromnej w świecie moralnym i religijnym ważności, jaką Zygmunt przypisywał Eterowi. Jam utrzymywał najprzód, że nie można twierdzić „że pierwszym odkryciem wśród martwych ciał cechę chrześcijańską mającem na ziemi jest eteru własność, ból ciałom odejmująca“, gdyż takich środków, usmierzających cierpienie, lubo może nie w takim stopniu, pełno zawsze było i odkrywano na świecie. Następnie to oddzielanie się ducha od ciała nie sam tylko eter sprawia. W gorączce, po zażyciu opium, w śnie magnetycznym i w wielorakich stanach spowodowanych sposobami otrętwiającemi ciało, duch przejrzystnieje, ulatnia się, odosabnia od świata, odgaduje rzeczy i wypadki niewidziane, marzy o nieśmiertelności. Gdyby tym dopiero trybem miała się ludzkość przekonać o nieśmiertelności, przekonać n a o c z n i e, wiara straciłaby zasługę. Pan Bóg dozwała nam się ratować, bronić od bólu, otacza nas tysiącznemi środkami łagodzącymi lub usuwającymi dolegliwość, ale gdyby

całkiem ciało nasze od bólu uwolnił, gdzież byłaby zasługa cierpienia, gdzież kara za grzech pierworodny, ciała nasze już tu stałyby się nieskazitelne, takimi jak mają według nauki kościoła dopiero po zmartwychwstaniu zostać. Gdyby naprzykład matki odtąd, jak utrzymywano, miały bez bólu rodzić, wyrok wyraźnie w tym szczególe rzucony na Adamowe plemie zostałby mechanicznie zniweczonym, *felicissima culpa* nie miałyby znaczenia, a ród ludzki począłby się mnożyć bezwiednie, bezboleśnie, jak gąsienice; najpiękniejsze przymioty, bohaterstwo macierzyństwa, w bólu poczęte i bolem zahartowane, przestałoby uzacniać kobiety. Więcej niż ćwierć wieku mija od odkrycia, a Hegliści nie powzięli ztąd żadnego przekonania, owszem w tym przeciągu czasu, więcej niż kiedykolwiek ludzi przestało wierzyć w nieśmiertelność, a bezwyznaniowość, ateizm, pozytywizm, darwinizm, najogromniejsze wszędzie czynią spustoszenia. W zakresie fizycznego cierpienia, środki takie mogą zmniejszać ból na razie, ale mają zwykle inne złe następstwa — szczepienie ospy sprowadziło skrofuły i ubóstwo krwi, chloroform rozdrażnienie nerwów na całe życie — o zupełnem więc usunięciu bólu mowy być nie może. Poeta zażywszy eteru widział jakby naocznie nieśmiertelność, ale to skutek więcej jego wzniesłego ducha i imaginacy — pospolity człowiek pewnieby nie ujrzał tego co on widział, a wieszcz w zachwycie, święci w ekstazy, czuli się nieraz jakby wyobleczeni z ciała, i duchem tylko. — Często miałem podobne dyskusye z Zygmuntem. Mierzyć się z nim nie mogłem ani wymową, ani obrazowością, ani poetycznością pomysłów, ale on przez dobroć i przyjaźń zwykle ustępował. Wrażliwy tak umysł sięgał zawsze do ostatecznych kresów. Każdy wypadek, wiadomość, szczegół z politycznej dziedziny, zaciekawiał go i często poruszał do głębi. Obsypywano go więc zewsząd nowinkami. Ztąd w jego listach zdarzają się wzmianki o pogłoskach, których prawdziwość może być podaną w wątpliwość, jak n. p. owa o Martinie lub o Tys. Zygmunt dawał zawsze bardzo hojnie i pojedynczym osobom i na cele dobroczynne lub patriotyczne. Używał do tego pośrednictwa swych przyjaciół, więc niekiedy i mojego. Wyprasałem się, bo wiem jaka to śliska i podejrzeniom przystępna sprawa, osobliwie na emigracyi. Nieraz jednak wymówić się nie mogłem, gdyż zbyt nalegał. W owym czasie zamierzono zawiesić u św. Rocha w Paryżu, w kaplicy, gdzie się nabożeństwo polskie odbywało, wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Nie pomnę czy na ten cel, jak to w powyższym liście napomyka Zygmunt ja miałem z własnej kieszeni dać jakąś sumę, czy zbierałem na to składkę, czy wreszcie on przezemnie miał kosztą pokryć. Zdaje mi się, że to ostatnie jest najprawdopodobniejszym i że on znalazł prostszą drogę



przez jednego z przyjaciół w Paryżu. W liście przedostatnim wspomina także, że mi przesyła jakąś składkę na czytelnią polską w Rzymie. Założyłem był tam nie tylko czytelnię, ale połączone z nią Tow. historyczne do zbierania wszelkich pamiątek polskich, wypisywania dokumentów znajdujących się w licznych archiwach, a potem otworzyłem u siebie wystawę prac artystów polskich. Wystawa ta nadzwyczaj się udała, wielu malarzy sprzedało swe obrazy, a poczciwy Jaroszyński dał mi roczne stypendyum 1000 fr. dla artysty, którego wybiorę, to jest co rok miałem u jednego obstałować obraz za 1000 fr. Dwa tylko razy sprawowałem to pośrednictwo, bo następne wypadki polityczne, a wreszcie śmierć Jaroszyńskiego położyły koniec tak dobroczyńnemu zamiarowi. Wyrażenie, że przez te zabiegi urzeczywistnionem zostało „marzone idealnie połączenie Romy z nami przez Irydyona“ — dziś nabiera ważności, ponieważ znaleźli się krytycy, którzy pomysłu do Irydyona szukają w jakimś utworze francuskim, gdy tymczasem był on rodzimie polskim i ku Polsce się zwracał.

(C. d. n.)

---